3

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 9 (48) WARSZAWA, 28 LISTOPADA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

STEFAN ŻEROMSKI

ZRYWAJĄ się żywe nici, łączące wolną Polskę z epoką niewoli. Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli owych czasów, a te znajdują wyraz w swych twórcach, był ś. p. Stefan Żeromski. Był chlubą swojej generacji. Pokolenie to, zrodzone z ojców, którzy zeszli ze świata z dramatem w sercu, z dramatem nieudanego, a co gorsza, nieprzemyślanego czynu narodowego, poczęte w czasach rozterki ducha i żałoby, miało w sobie od urodzenia rozdroże, a u każdego rozstaju majaki, miast drogowskazów. Zachodziły im drogę błędne ogniki, wiodące na manowiec, szarpały serca wątpieniem, bądź czerwoną żądzą porachunku zalewały oczy. Szliśmy na przełaj, zdając na Opatrzność kroki: ojcowie nie mieli odwagi prowadzić.

Stefan Żeromski, urodzony 1864 r. w puszczy Świętokrzyskiej pod Łysicą, w dolinie, przerzniętej wodami Czarnej Nidy, co ze źródła św. Franciszka na Łysicy wypływa, — w tej swojej „najściślejszej ojczyźnie“ wśród żywych tradycyj ruchu krwawego, zdala od świata, w dzikiem i samotnem otoczeniu, w zupełnej samotności ducha urabiał w sobie pierwsze na świat wejrzenie. Rozszerzył je w Kielcach, dokąd go do gimnazjum oddał ojciec, skromny dzierżawca folwarku pod Łysicą. Kielce, pierwsze miasto na skraju owej dawnej puszczy Świętokrzyskiej, od świata (wskutek braku kolei) odcięte, hodowało młodzieńca, nie szczędząc wrażliwej duszy dysonansów, które się rodziły z zetknięcia rosyjskiej polityki szkolnej z surowym rygorem tradycji miasta biskupiego i z wpływem „zesłanych“ tu profesorów liberalnej marki. Znamy ten okres z „Syzyfowych prac“ Żeromskiego.

Talent pisarski Żeromskiego rozwijał się szybciej, niż mógł się rozwijać jego umysł w jego warunkach domowych i szkolnych. Był dopiero w klasie czwartej, kiedy już słynął w okolicy Świętokrzyskiej, jako poeta i nowelista. Chrzestnym ojcem jego pierwszych poczynań literackich był nauczyciel jego, Antoni Gustaw Bem, czciciel jezyka, stylu i wolnej myśli. Jego wpływowi wiele zawdzięcza talent Żeromskiego. Nauka w szkole szła opornie. Opuścił ją przed maturą. Parę lat, spędzonych potem w Warszawie, nie miało dla jego umysłowości wielkiego znaczenia. Chcąc ulżyć ojcu niezamożnemu (matkę stracił w dzieciństwie), zapisał się do szkoły weterynaryjnej, aby czemprędzej na chleb pracować. Oczywiście nie pogodził tej karjery z literaturą, do której już dostęp nieśmiały zyskiwał. Ojciec zmarł w r. 1888. Zaczęła się wędrówka po prowincji za guwernerką prywatną, z krótkiemi pobytami w Warszawie. Tu zbliżył się do „Głosu“, gdzie zamieścił pierwsze swoje słynne nowele. Wiele chorował, obciążony po matce gruźlicą. Cierpienia wyraziły się w utworze „Cokolwiek się zdarzy, niech uderzy we mnie“. „Siłaczka“ wyrobiła mu imię, jako demokracie.

Warszawa ówczesna, uśpiona w codzienności, nie znała jeszcze głębszych prądów; te zaledwie dawały się się odczuć w paru redakcjach. Żeromski w stanie surowym wyjechał do Szwajcarji i pozostał poza krajem do końca stulecia. Tam natknął się na rozdroże; o wyborze drogi zadecydował przypadkowy stosunek do ludzi, którym, z właściwym sobie entuzjazmem dla nowych idej. zaufał. Rozdroże to wyrażało się w alternatywie: nacjonalizm czy socjalizm ze wszystkiemi pochodnemi skutkami politycznemi, obozowo-organizacyjnemi i literackiemi. Gdy powrócił do kraju, między nim a narodowym obozem stanął mur nieprzebyty, choć niewidzialny. I tu zaczął się dramat życia wielkiego pisarza. Trudno nam mówić o sercu jego, ale wolno mówić o tem, co objektywnie się ujawniło, o dramacie jego talentu.

Z przyrodzenia swojego był to talent liryczny. Garnął w siebie życie wrażliwością zmysłową; wyobraźnia jego nie paliła się niczem, jak tylko tem, co przeszło przez bezpośrednie doznawanie. Natura sensualistyczna, zaprzeczenie intelektualizmu, w sferze idej oderwanych mało mogła znaleźć pokarmu dla talentu poetyckiego. Żywiołem naturalnym Żeromskiego była pamięć rzeczy przeżytych, pamięć precyzyjna, decydująca o powołaniu artysty, a nadto poetycka, idealizująca rzeczy pamiętane

i powiększająca. Natury takie cechuje nostalgiczny stosunek do tego, co było, do dawnego otoczenia, do cieniów przodka, stosunek historyczny w odniesieniu do życia zbiorowego. Bliżej było Żeromskiemu do romantycznego na świat poglądu z jego kultem dawności, patyny wieków i zaściankowości, niż do uniwersalizmu i do futurystycznego patrzenia w nieznaną przyszłość, w którą z lubością ulatuje doktryner, gotowy każdej chwili do rozpoczynania życia na nowo.

Pisano już o tem niejednokrotnie, zawsze z ubolewaniem, że Stefan Żeromski w zenicie rozwoju swego talentu popadł w dwoistość, która odbierała jego utworom wartość monolitu. Czerpiąc natchnienie z dwu inspiracyj, dalekich od sharmonizowania: narodowej i radykalnie społecznej, tworzył podwójnem pasmem, które siłą talentu zaplatał, ale które nigdy nie dawało obrazu harmonijnego, jakby dwu słońcom zawdzięczał oświetlenie.

Trudno zrozumieć Żeromskiego bez tła jego epoki. Całość każdego pisarza jest zjawiskiem historycznem i nie powinna być brana do nauki pokoleń dogmatycznie. Wydzielić trzeba wartości trwałe, a resztę zapisać na rachunek ducha czasu. Nie uwłacza to bynajmniej pamięci wielkiego pisarza, gdy na jego dzieła patrzymy, jako na kawałki życia, które bywa męką i nie zostawia na dziełach urody, której samo nie miało.

Wiek Żeromskiego był ciężki dla pisarza. Na czas jego dojrzewania przypada moment łamania się ideałów dawnych, w których wzrastał. Pogodny pomimo cierpień niewoli pogląd na świat, jako ewolucję przy wysiłku dobrej woli, nawet bohaterstwa narodowego, uległ silnemu zakwestjonowaniu pod wpływem nowej filozofji społecznej. Nowy duch wytworzył rozdroże, a droga, którą nastręczył, nie wyprowadzi nigdy na szczyt, skąd widać słoneczne przestworza. Materjalistyczny sposób patrzenia sposępnił życie i zakrwawił walką, przedstawił je bowiem, jako teren nieustannej walki klas, z których jedne ponoszą winę cierpień drugich. Metafizyczna oś życia, zagubiwszy końce w materji, skróciła widnokrąg, a wyzwolony z niej człowiek rzucił się z rękami na brata. Nie jest rzeczą tajną, że ten sposób widzenia nie wydał żadnego dotąd myśliciela, którymby filozofja polska poszczycić się mogła. Tem mniej zdobyczy mógł on przynieść sztuce, której siłą twórczą są tęstnoty metafizyczne. W Żeromskim znalazł wyraz ten łamany styl epoki. Żeromski będzie dla historyka myśli polskiej typowym przedstawicielem tej przełomowej epoki, kiedy nie tylko ludzie z sobą, ale myśl walczyła z myślą w jednym człowieku. Będzie wyrazem tego pokolenia, które zarzekało się instynktów, a nie nauczyło się jeszcze myśleć, które szukało drogi w doktrynie i nie umiejąc już wierzyć w wiosnę, źle rozpoznawało objawy przedwiośnia.

Niebezpieczeństwom tego wiru pojęć oparł się skutecznie w tymże czasie Kasprowicz. Przez zestawienie tych indwidualności, bardzo bliskich talentem, historyk rozpozna, co z tej różnicy odliczyć na karb kultury umysłowej.

Podziwiać należy siłę talentu Żeromskiego, że w tem rozbiciu wewnętrznem potrafił ekspresją artystyczną pokrywać niedobory wewnętrzne i własną mękę. Dusza jego wyrywała się w przestwór, żeby zaczerpnąć oddechu w powiewie żywiołu, z którego narodziło się życie narodowe (Wiatr od Morza), ale rychło wracać musi na zajęte stanowisko; poryw liryczny unosi go wgłąb dziejów i z lubością przypada do wielkich postaci narodowych, ale jakiś mus nakazuje mu czynić z uniesień swoich użytek historjozoficzny według doktryny; staje do roboty społecznej w trybie narodowym wszyscy ze wszystkimi, w trybie starej „zabawki odrodzenia“, ale wnet się zawaha, czy nie zostawić roboty tym, „którzy tu przyjdą i zaczną wydawać rozporządzenia pod grozą krwawego topora“ (Przepióreczka). Na każdym kroku męczy się w tej djalektyce dwu światów, nie widząc nawet ulgi w tem, że współczesność za dogmat chce brać każde jego słowo, którego sam nie jest pewien.

Za tę mękę jego wielką odpowiedzialność bierze epoka, ta część inteligencji, która nie uszanowała praw wielkiego talentu, aby uczynić z poety ozdobę swego obozu. Małe talenty wszędzie się zmieszczą, ale wielkim musi być dana zupełna wolność wewnętrzna.

Po za tą dziedziną wnętrza sztuki i związanemi z nią tajemnicami architektoniki, pozostaje w dziełach Żeromskiego wielki obszar zjawisk literackich i artystycznych, któremi — pełni podziwu — długo rozkoszować się będziemy, składając hołd mistrzowi słowa polskiego. Jeżeli był kiedy taki dzień genezyjski, że człowiek dotąd niemy przemówił, to wynikło owo słowo z ducha tak zorganizowanego, jak w wielkim poecie, który ten cud powtarza. Przez Żeromskiego mówił na nowo człowiek, gdy patrzał — jakby pierwszy raz — na przyrodę, mówił Polak, który odkrył tajemnicę krajobrazu i powietrza polskiego, mówił poeta polski, który odnalazł pierwszy wagę, smak i dźwięk polskiego słowa. Sądzone snać było, żeby zstąpił do chaosu nie uporządkowanej myśli polskiej i przedstawił potomnym katusze naszego wieku, błąkanego po manowcach. Cierpienie, którego był niezrównanym poetą, jest miarą jego potrzeby miłowania: współczucie daje wyobraźnię bólu. Tej samej potrzeby wykładnikiem była jego poezja nienawiści: nienawidzi się za to, co się kocha.

Mógł błądzić w ocenach i programie, mógł nie dojść do całkowitego światopoglądu, ale nie myliła go miłość ziemi; tej nie obłąkał żaden drogowskaz. Niemasz w literaturze piękniejszej „pieśni o ziemi naszej“, jak Żeromskiego krajobrazy i kontemplacje nad przyrodą polską. Przyszłemu pokoleniu poetów zostawił wspaniały dostęp do ziemi i do mowy rodzimej. I to jest wielką zasługą poety.

Dzieło pisarskie ś. p. Żeromskiego czeka na swego badacza, a będzie ono ważnym dokumentem epoki, nie tylko osobistości. Ubliżyłbym pamięci Zmarłego, gdybym zbył jego żywot dytyrambem, nie składając dowodu, że mu się przyjrzałem. Słowa moje podane są w poczuciu prawdy i miłości dla Zmarłego, którego byłem rówieśnikiem, współziomkiem, kolegą szkolnym i towarzyszem pracy.

Z. WASILEWSKI

KRYZYS KULTURY

POLSKA przechodzi nietylko przez kryzys finansowy, gospodarczy i parlamentarny. Polska przeżywa również głęboki, niezmiernie ciężki i niebezpieczny kryzys kulturalny. Kryzys ten dlatego jest głębszy, cięższy i niebezpieczniejszy od wszystkich innych, ponieważ przenika całość polskiego życia duchowego, ponieważ swoistym stanem podgorączkowym — cechą znamienną każdego kryzysu—czyni chorą myśl i wyobraźnię. Jeśli znamiona kryzysu gospodarczego i parlamentarnego można złagodzić a nawet czasowo usunąć środkami mechanicznemi, reformami, ustawami lub rozporządzeniami, to kryzysu kulturalnego, chorej myśli i spaczeń wyobraźni, nieda się uleczyć inaczej, jak tylko twórczością, jak tylko na drodze organicznej przemiany krwi i materji w całem życiu duchowem. Taka „sanacja“ nie da się oczywiście przeprowadzić z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, twórczości bowiem nie wywoła się ani ustawą ani rozporządzeniem.

Istnienie głębokiego kryzysu kulturalnego jest faktem niewątpliwym. Sprawdzianem jego jest nietylko zanik i niezdolność do wielkiej twórczości naukowej i artystycznej, brak wielkich indywidualności i dzieł, nietylko przyczynkowy i niemal wyłącznie analityczny charakter naukowej, zaś urbanistyczny a więc oderwany od przyrody i w problamatyce formalno-technicznej zakiśnięty charakter artystycznej produkcji współczesnej. Schorzenie kulturalne znamionuje całą atmosferę intelektualno-emocjonalną, w jakiej bytuje współczesne społeczeństwo polskie, dotyka zarówno tę jego znikomo drobną cząstkę, która jest, względnie usiłuje być, kulturalnie czynną i „twórczą“, jak i te nieogarnione masy kulturalnie bierne, snobistyczne, konsumujące wytwory kultury.

Czczość, próżnia, nieobecność choćby tylko tęsknot do nowych ideałów i wartości kulturalnych, symplicyzm i prymityw w namiętnościach i gustach estetyczno-moralnych, beznadziejna nuda, wiejąca z dookolnego, boleśnie taniego i nieciekawego życia duchowego—oto profil i en face, szerz i głąb współczesnej atmosfery kulturalnej w Polsce.

Taki stan rzeczy wydaje się pozornie niezrozumiały, zwłaszcza, gdy się go skonfrontuje z faktem zaiste nieobjętym w swej doniosłości, jakim jest wskrzeszenie państwa. Często też słyszeć się daje biadanie, sformułowane w pełnej zdumienia skardze: „Jakto, odzyskaliśmy niepodległość, cel długowiecznej tęsknoty i udręki pokoleń, i rzeczywistość ta cudowna niezdołała dotychczas rozpalić stu słońc radosnej, potężnej, krzepkiej twórczości?!“ Istotnie, kryje się w tem zjawisku dla zawiedzionego w nadziejach pełna paradoksu sprzeczność: niepodległa Polska zahamowała rozwój polskiej twórczości kulturalnej.

Cały szereg przyczyn tej niepokojącej oczywistości wynalezionych oddawna, w osobnych publikacjach, czasopismach i z trybuny prelekcyjnej formułowanych, nie wyczerpało dotychczas analizy genetycznej zjawiska, o którem mowa; było raczej zawsze charakterystyką objawów choroby anormalności, aniżeli sięgnięciem do sedna, do korzenia problemu. We wszystkich dotychczasowych ustaleniach cząstkowych przyczyn przeżywanego kryzysu kulturalnego mieści się niewątpliwie sporo prawdy. Powojenna dewaluacja intelektualna i moralna, ciężkie ekonomiczne warunki życia codziennego, odpływ znakomitej części energji umysłowej do dziedziny aktualnego budownictwa państwowego (wyjaśniający równocześnie inwazję obcości—żydostwa!—w obręb działalności kulturalnej) i wiele innych faktów oczywistych, nie wymagających osobnego komentarza, bo codziennie obserwowanych—to wszystko niewątpliwie w dużej mierze tłumaczy nikłość twórczych pojawów życia kulturalnego współczesnej Polski. Czy jednak wymienienie tych przyczyn wyjaśnia *zupełnie* zagadkę niemocy twórczości kulturalnej, czy odsłania *wszystkie* elementy zagadnienia?

Zdaje się, że wejdziemy bardziej w głąb obchodzącego nas pytania, gdy ustalimy naprzód, że kryzys kultury w Polsce — podobnie zresztą, jak kryzys finansowy, gospodarczy, parlamentaryzmu — nie jest zjawiskiem wyłącznie polskiem, gdy stwierdzimy, że przeżywają go kultury wszystkich innych narodów europejskich, że jest zatem zjawiskiem charakterystycznem w całej Europie. Pesymizmu Oswalda Spenglera nie można kłaść wyłącznie na karb jego fatalistycznej matematyki historjozoficznej, determinującej nieuchronnie na czasy przez pokolenie współczesne przeżywane, upadek kultury zachodnio-europejskiej. Niezależnie od spekulatywnego fatalizmu dziejowego, kryzys kultury europejskiej został przez Spenglera dowiedziony na faktach oczywistych, niepodlegających żadnej wątpliwości. Pod djagnozą niemieckiego filozofa podpisali się „pesymiści“ innych krajów (G. Batault w książce p. t. „La guerre absolue“ widzi przyszłość ludzkości pod postacią „bellum omnium contra omnes“, A. F. Masterman w książce „England after war“ ukazuje rozkład społeczny swej ojczyzny, u nas M. Zdziechowski w publikacji „Europa — Rosja — Azja“, a także w ostatnim wykładzie inauguracyjnym na uniwersytecie w Wilnie, prof. F. Znaniecki w „Upadku cywilizacji zachodniej“ i inni).

Jeśli zatem kryzys kultury jest zjawiskiem europejskiem, ogólnem, to przyczyny, które to zjawisko wywołują, muszą mieć wspólne podłoże, muszą z jednego źródła się wywodzić.

Kultura społeczeństw europejskich XIX stulecia aż do wybuchu wielkiej wojny w r. 1914, formowała swą indywidualność dziejową na liberalnym na świat poglądzie, który zgodnie z ideologją filozofji naturalnej Rousseau'a i Deklaracji Praw Człowieka, jako naczelną zasadę moralną, organizującą życie historji, ustawił — jak wiadomo—jednostkę, nieograniczenie, absolutnie wolną. Wolność, pojęta w duchu liberalnego na świat poglądu, wkraczając w dziedzinę twórczości kulturalnej, to znaczy w dziedzinę twórczości ducha ludzkiego, musiała, rzecz jasna, przeciwstawiać się zasadzie wszelkiej twórczości, której indywidualność określała suma cech środowiska, terytorjalnie, t. j. przyrodniczo i psychicznie t. j. osobowością bytujących w niem ludzi, ograniczonego. Dla liberalnej twórczości kulturalnej nie mogły istnieć granice i zapory w postaci indywidualności środowiskowych. One musiały być niszczone, względnie ignorowane, jeśli miał zostać ziszczony ideał kulturalny liberalizmu, to znaczy widomy wyraz twórczości, wypranej chemicznie z indywidualnego kolorytu psychiki i przyrody środowiska, nie związanej z ziemią, wyabstrahowanej z krajobrazu, znajdującej jedyne źródło swej siły w solipsystycznie pojętej „duszy“ a legitymację swego etycznego obywatelstwa w sentymencie dla „świata“, dla „ludzkości“, niepokrajanej żadnemi granicami geograficznemi, niezróżnicowanej psychicznie.

Nie trudno spostrzec, że taki ideał kulturalny był nawskroś mechaniczny, że w dziedzinie twórczości np. artystycznej prowadzić musiał do hasła „sztuki dla sztuki“, choć niepodobna z drugiej strony zaprzeczyć, że za-

równo intelektualnie, jak emocjonalnie, stworzył wartości nieprzemijające.

Gdy liberalizm kulturalny dzięki swej zasadzie absolutnej wolności odrywał twórczość dziejową od jej psychicznego i krajobrazowego pnia macierzystego, to znowuż dzięki tej samej zasadzie liberalizm gospodarczy, przez wywieszenie hasła swobody wymiany handlowej doprowadzić musiało w ostatecznych swych praktycznych konsekwencjach do zorganizowanego wyzysku słabszych przez silnych, a liberalizm polityczny do usprawiedliwienia imperjalizmu wszelakiego typu (pruskiej „siły przed prawem“, brytyjskiego, podjętego w imię—oczywiściel—misji cywilizacyjnej).

W liberaliźmie, tak różnorakim i złożonym w wielostopniowych kondygnacjach swoich uzewnętrznień, ustalić można przecież wspólną, do wszystkich dziedzin, na których doktryną swoją zaciężył, odnoszącą się cechę metodologiczną: mechaniczność, z jaką przez ciąg przeszło stulecia organizował wyobraźnię tudzież życie gospodarcze i polityczne społeczeństw. Taka mechaniczna organizacja życia przez liberalizm odbywała się oczywiście w niezgodzie z samem życiem, z rzeczywistością, z naturalną dynamiką historji i z przyrodą. Doprowadzić też ostatecznie musiała do rozłożenia tego życia, co w praktyce wyraża się w przeżywanej przez nas kompromitacji i katastrofie, przyśpieszonej wojną, w dziedzinie zaś kultury—niemocą twórczą.

Wojna bowiem odsłoniła bezlitośnie czczość moralną liberalnego na świat poglądu, a więc także kulturalnej ideologji liberalizmu. Wojna ukazała empirycznie, że jednostka, kult jednostki, nieograniczonej przyrodą i indywidualnością środowiska, wyniesionej mechanicznie do godności regulatora i kryterjum wszelakiej wartości w życiu, jest pustym, nieżywym dźwiękiem i ustąpić musi zasadzie organicznie wyrastającej z historji i przyrody, do organizacji życia powołanej, zasadzie narodowej, nacjonalizmowi.

Wypowiedzenia powyższego nie należy rozumieć, jakoby w miejsce liberalnego na świat poglądu wchodził już nacjonalistyczny pogląd na świat. Nacjonalizm bowiem nie jest poglądem na świat, a właściwie *jeszcze* nim nie jest. Ale właśnie dlatego, że liberalizm, jako pogląd na świat, już się skompromitował i przeżył, że przestał oddziaływać na wyobraźnię, jako organizująca zasada moralna i kulturalna i dlatego, że w miejsce liberalizmu nie skrystalizowała się jeszcze nowa ideologja moralna i kulturalna, zdolna z analogiczną siłą i oryginalnością, co przed stuleciem liberalizm, zaatakować wyobraźnię i umysł — przeto kultura europejska przeżywa głęboki kryzys.

Źródła liberalizmu wyschły. W duchowej atmosferze europejskiej pustka, znużenie, prowizorjum. To każdy czuje, każdy wie. Jeszcze pogrobowcy i błędni rycerze zmierzchającej doktryny liberalnej usiłują galwanizować trupa. Jeszcze liberalne żydostwo międzynarodowe usiłuje wziąć w arendę twórczość duchową europejskich narodów, urbanizować ją, odrywać od gleby, czynić absolutnie „wolną“. Jeszcze skonfederowane razem imperjalizm z liberalizmem usiłują obalić narodowy porządek rzeczy i siły w Europie powojenne, aby śmiertelnie dla obu niebezpieczną zasadę samowystarczalnych gospodarstw narodowych unicestwić powrotem do gospodarczego *ancien régime'u*, zorganizowanego na wyzysku i eksploatowaniu słabych narodów przez silne.

Nikt jednak myślący naprawdę nie może mieć złudzeń: to ostatnie wysiłki ginącego świata, bankrutującego liberalnego na świat poglądu.

A każda śmierć jest przesileniem.

Więc przeżywamy kryzys ogólny, przedewszystkiem zaś, najgroźniejszy bodaj—kryzys kultury.

STEFAN MĘKARSKI

POZNAJMY DZIEJE SPÓŁCZESNE

Za kilka tygodni zbiera się w Poznaniu pierwszy od lat 25 zjazd historyków polskich. W prasie, zalanej aktualnością, głucho o zjeździe. Wtajemniczeni wiedzą, że będzie tam mowa i o zamierzchłym wschodzie azjatycko-afrykańskim i o źródłach do dziejów kampanji 1920 roku, o najprzeróżniejszych zagadnieniach na przestrzeni czterech czy pięciu tysięcy lat. Z życiowej wartości tych dociekań nie wielu sobie zdaje sprawę. A przecież, jeżeli „echa prawieku“ drgają w uszach wielu myślicieli, jeżeli przeżycia pokoleń pouczające są dla kierowników dzisiejszego społeczeństwa, to doświadczenia naszej własnej generacji powinny być pokarmem i dorobkiem całego myślącego ogółu. Na nich, jak na fundamencie, stać powinna opinja publiczna.

Nie można się skarżyć, by dzisiejsi sternicy państwa poprostu głusi byli na głos mistrzyni życia. Były premier Sikorski całkiem dorzecznie np. apelował do niej w swej mowie inauguracyjnej 19 stycznia 1923 r. W Sejmie znów historja wybucha czasem ze strony całkiem niespodziewanej, i w sposób sensacyjny. Słuchając jednak, co mówi taki poseł Czapiński o wyłącznie obskuranckiej roli duchowieństwa w dawnej Polsce, co opowiada Okoń o początkach własności ziemskiej, o Grakchach i zwycięstwie pod Cecorą, jak poseł Lieberman w imieniu Zamoyskich i Żółkiewskich żąda bezkarności dla zbrodni listopadowej, trudno się oprzeć refleksji, że szanowne posły mają „mistrzynię życia“ raczej za pokojówkę „do wszystkiego“. Nie przez ich usta mówi doświadczenie wieków; demagogicznych zapędów tych niewolników tłumu wyborczego żadna nie poskromi historja.

Otóż właśnie dlatego musi ona żądać głosu przy kształtowaniu jedynej siły, od której losy rządów i posłów zależą—opinji publicznej. Opinja nie będzie zdrowa, jeżeli się skropli z fałszów i złudzeń: dopiero ten, kto zrozumie i zapamięta prawdę własnych przeżyć z lat kilkunastu czy kilkudziesięciu, potrafi przeprowadzić pouczającą analogję między swoją dobą i ubiegłemi okresami dziejów, aby z niej następnie wydobyć morał praktyczny.

Złudzenia i fałsze osiadają zawsze na powierzchni opinji publicznej: chodzi o to, by się nie wgryzły do głębi. Poczynając od niewinnych bajek („L'Etat c'est moi“ „Iln'ya plus de Pyrénées” „Generał Kącki ocala Kamieniec Podolski”), i od złośliwych, lecz drobiazgowych fałszów w rodzaju „Finis Poloniae”, a kończąc na zasłaniających cały światopogląd pseudofilozoficznych wspomnieniach i rozmyślaniach, ćmiły i ćmią opinję ogółu różne legendy i nieporozumienia. Kłócą się one i kłębią, mimowoli odsłaniając potrosze obraz rzeczywistości, ale ta rewelacja powolna mogłaby się odbywać kilkakroć szybciej, gdyby ją przyśpieszało umiejętne badanie.

Weźmy, jako pierwszy przykład, odbudowę państwowości polskiej. Ktoby nie czytając książki Dmow-

skiego, a słysząc o niej sceptyczne komenarze innych nieczytelników, chciał wnioskować z wyglądu okładki, powiedziałby pewno: według nich oni tylko odbudowali Polskę. Ktoby przeczytał rzecz Bobrzyńskiego o „Wskrzeszeniu Państwa Polskiego", doznałby wrażenia, że ostatecznie, aż do r. 1918 wskrzeszali państwo głównie N. K. N. i t. zw. aktywiści z Kongresówki. Według ewangelji, głoszonej na różnych obchodach 6 sierpnia, wszystkiego dokonał „czyn legjonów" i nie było nic, a raczej był serwilizm, upodlenie, prywata, lecz przyszedł Piłsudski i zrobił Polskę. Później tenże bezpartyjny i wyższy nad interesy stronnicze mąż wypędził gwałtem Niemców i ponad głowami różnych, panów i partyj objął rządy, stał się „źródłem prawa", dał nam Sejm z powszechnem prawem wyborczem i t. d. Jeszcze inni, jak St. Kutrzeba, radzą sobie w ten sposób, że nad sporami o zasługi partyj i jednostek przechodzą w miarę możności do porządku dziennego: Polska Odrodzona jest dziełem bezimiennego Polaka. Wyobrazić sobie tylko historję dawnej Polski upadającej, któraby nie odróżniała roli Kościuszki od Staszica, roli Poniatowskiego od Potockiego, Czartoryskiego od Ponińskiego!

Weźmy rok 1920. Jak często słychać próby przypisywania zasługi jednemu jakiemuś czynnikowi w narodzie: chłopom, robotnikom lub inteligencji! I jak chętnie uciekamy wówczas z kłótni do ignoracji: „Wszystkie warstwy ocaliły ojczyznę". Do społeczeństwa cywilnego niezawsze dolatują, ale sferę wojskową roznamiętniają spory różnych generałów o udział w zwycięstwie — i przedtem w klęsce. Jedni myśleli, że nas zbawił „Dziadek", inni że Weygand, jeszcze inni wdzięcznie wspominali gen. Hallera; zjawia się raptem anonim, który „w świetle prawdy" wieniec laurowy kładzie na czoło gen. Rozwadowskiemu. A ilu pozostawiono w cieniu, ilu niesłusznie nadmiernie potępiono? Tych drażliwych pytań nie zalepi się żadnym plastrem, w nie trzeba wejść i badać. Są akta, są świadectwa, są wykazy statystyczne zgłoszonych ochotników—i żołnierzy poległych; dzieła każdej dywizji i każdego generała są utrwalone w źródłach — można je ujawnić. To samo dotyczy dziejów ustroju wskrzeszonego państwa. Niektóre organy i urządzenia, jak szkolnictwo, policja, sądownictwo, zaczynają obchodzić swe dziesięciolecia, a wobec zbliżającej się rewizji Konstytucji, godziłoby się sprostować poglady na genezę naszych praw zasadniczych. Były próby macania lub wykrzywiania owych poglądów. Kto tłumaczy np. sens konstytucji, jako wynik zmagających się wpływów „miasta" i „wsi" i ten, kto z upodobaniem uwydatnia zdrowe pomysły lewicy w Sejmie ustawodawczym, a zamazuje pamięć jej ryzykanckich zapędów i nic dobrego nie widzi w zasadach przeforsowanych przez prawicę—ten źle się przysłuży do poznania historji spółczesnej. Opinja powinna wiedzieć, komu zawdzięcza tę lub ową instytucję, i jeżeli np. dziś myślimy o wzmocnieniu atrybucyj prezydenta Rzplitej, to historja powinna przypomnieć, kto o to hasło — słusznie czy niesłusznie—walczył pięć lat temu. I trzeba wiedzieć, dzięki komu nie mamy ani elekcji viritim, ani ludowego referendum, ani suwerennej obok Sejmu rady robotniczej.

A dzieje naszej gospodarki państwowej i społecznej, dzieje samego społeczeństwa i jego kultury? Czyż nie warto stwierdzić przedmiotowo, i doprowadzić do świadomości myślącego ogółu, jaką drogą, czyim trudem, przez jakie doświadczenia doszliśmy do tej skromnej umiejętności administracyjnej i gospodarczej, jaką rozporządzamy obecnie. Jak współpracowali z przedstawicielstwem narodu kolejni ministrowie skarbu? Kto ulepszył machinę podatkową i celną? Kto był „ojcem inflancji"— i kto ojcem waloryzacji? Kiedy i jak zbliżyliśmy się do równowagi w budżecie? Kto dbał i kto nie dbał o bilans handlowy, o naszą samodzielność ekonomiczną?

Takich i tym podobnych pytań staje przed nami mnóstwo. Opinja ma prawo domagać się na każde odpowiedzi szczerej i całkowitej. Jeżeli są tajniki—w zakresie wojskowości lub dyplomacji, których odsłaniać jeszcze nie można, to niech je urzędy chronią: ale po za tym jednym wyjątkiem żadne drażliwości, żaden wstyd ani próżność, niczyje uprzedzenia nie powinny tamować uzdrawiającego opinję pochodu ku prawdzie.

Czy możliwa jest historja współczesna? Czy niema w tem pojęciu sprzeczności wewnętrznej? Niektórzy sądzą, że sprzeczność jest, i że o pisaniu dziejów spółczesnych niema co myśleć. Trzeba czekać, mówią: aż pewne sprawy „przejdą do historji", aż ostygną namiętności, i wyjdą na wierzch pewne tajemnice.

Owóż dla ludzi głębiej odczuwających sprawy narodowe, nawet hasła przedstuletnie zachowują aktualne znaczenie. Nacjonalista nad „wielkiemi zasadami" 1789 r. przechodzi do porządku, socjalista poniekąd także, ale liberał widzi w nich dekalog. Tajemnic pełne są dzieje wszystkich epok bliskich i dalekich; same się one nie odsłaniają, trzeba je brać szturmem. Często zdzierają z nich zasłonę ludzie, którym chodzi o apologję, nie o naukę. Polemika idzie za polemiką. Biała księga bije księgę czerwoną, niebieska prostuje białą, wszystkie zwalcza księga zielona... Zwłaszcza po klęskach sypią się pamiętniki bez końca, a każdy z nich zawiera taką miarę niedyskrecji, że po wywnętrzeniach np. Hindenburga, Ludendorffa, Falkenhayna, Conrada, Hoffmana, Arzta i innych obalonych olbrzymów, których fragmenty dotyczące Polski zebrał świeżo w pożytecznej książce p. Michał Sokolnicki *) niewiele już zostanie w archiwach Niemiec i Austrji sekretów do zatajenia. W ten sposób dzieje XX wieku prędzej „przechodzą do historji", niż dzieje wieku XVIII, nie dlatego, że dzisiaj mniejszą rolę gra tajna dyplomacja—(jej rolę chciałyby objąć tajne organizacje międzynarodowe) lecz głównie dlatego, ponieważ wszelka akcja polityczna musi się dziś dostosowywać coraz ściślej do dążeń wyzwolonych miljonów i nawet najtajniejsze loże nasiąkają ideologją oraz interesami mas.

Co się zaś tyczy owych namiętności, utrudniających badanie wczorajszego dnia, to nie ma na nie lepszego egzorcyzmu, jak zastosowanie tej samej metody naukowej, którą stosujemy względem epok dawniejszych. Zacząć tylko badać, a po kolei otworzą się sekrety i umilkną namiętności.

Przez historję spółczesną, w przeciwieństwie do nowożytnej lub nowoczesnej, należy rozumieć historję przeżyć żyjącego pokolenia, t. j. przeważnej i najczynniejszej jego części. Dla nas dzisiejszych (1925) obejmuje ono okres odbudowy państwa, mniej więcej od r. 1900; dla ludzi 1900 roku obejmowała ona lata „pracy organicznej" po katastrofie styczniowej. Wszystkie żywe i twórcze generacje starały się posiąść taką świadomość własnych przeżyć. Dziejopisem spółczesności był Kadłubek, był Długosz. Później tę samą czynność spełniali: Wapowski, Górnicki, Heidenstein, Orzelski, Bielski, Piasecki, Rudowski, Zawadzki. Tylko najtragiczniejsza doba Sobieskiego i najbezmyślniejsza epoka saska nie doczekały się swych Tucydydesów. Dziś traktujemy tamte opracowania na równi z pamiętnikami i kronikami, a przecież była to historja konstrukcyjna w całem znaczeniu tego wyrazu. Jak ją pisano, według jakich źródeł i prawideł, nie miejsce tutaj dochodzić. Ale warto będzie, ze względu na dzisiejsze próby pisania dziejów spółczesnych, stwierdzić, jak spełniał podobne zadanie znakomity historyk upadku dawnej Rzplitej.

WŁ. KONOPCZYŃSKI

---

*) Polska w pamiętnikach.

WYBIEG INSTYNKTU

POMIMO tak niezrachowanej ilości zdarzeń i tak niesłychanej ich wielorakości w ciągu życia, — podświadome myślenie, ów samoswój, wewnętrzny i tajnym nurtem płynący strumień wspominania poprzez wszelkie dalekie czasy i rzeczy, — ileż to razy zadawało umysłowi pytanie: — czemuś ty wówczas tak postąpić poradził? Ogień radości bucha w piersiach, jak wtedy. Serce znowu bije, nie dzisiejsze zmiażdzone, chore, nieszczęsne, ni to badyl w polu między wichrami jesieni, lecz tamto młodzieńcze, dzielne, niezwyciężone i zwycięskie, którego w istocie, zaprawdę już niema.

Pospolita i śmieszna, nic nie znacząca uczniowska przygoda stawała już tylekroć, jak iskra świetlna wśród ciemnych mgieł licznych dni, że wypada ją wreszcie uprzytomić.

Działo się, — oczywiście, — w starem mieście Kielcach, za czasów moskiewskiego w niem rozbijania się i panowania. Byliśmy, — ósma klasa gimnazjalna, — pilnowani i strzeżeni, jak gromadka dziatek, którą należy trzymać nie byle jak w ryzach, żeby sobie snać jakiego kuku nie zadała. Po godzinie ósmej wieczorem nie wolno nam były pod żadnym pozorem wychodzić z domu i „znajdować się na ulicy". Wyjątek stanowiły eskapady nocne ze starym nauczycielem matematyki i fizyki, Gracjanem Czarneckim, „na gwiazdy", gdy, wyniósłszy na wzgórek obok cerkwi moskiewskiej jego własne lunety i przyrządy, zapalaliśmy się do astronomji. Zdarzało się, iż na owe „gwiazdy" przed mieszkaniem zgryźliwego „Gracjana Francowicza", czyli Zubla, które to miano jedno pokolenie naszej szkoły przekazywało następnemu — delegowany w tym celu zapaleniec w pojedynkę „zbierał się" i reprezentował ogół, a wesoła reszta kierowała swe chyże kroki ku gwiazdom najzupełniej ziemskim i daleko bardziej dostępnym. Spotkani na ulicy o tak późnej i zakazanej godzinie przez czynniki miarodajne i szpiegujące zwalali swą karygodną obecność wśród zawiłości ciemnych ulic na barki astronoma Gracjana, tłumacząc się, że właśnie zdążają pod cerkiew na obserwacje pierścieni Saturna. Wykręty takie przyjmowane były za dobrą monetę, o ile się wpadało w ręce któregoś z fafułów gimnazjalnych, normalnych belfrów, filologów, czy przyrodników, którym tropienie czeladki gimnazjalnej narzucano zgóry, jako wstrętny dla nich obowiązek. Lecz był ktoś, komu najbardziej szybkonogi Achilles nigdy ujść nie zdołał, a po pojmaniu nie wyślizgnął się ze szponów zapomocą opowieści o „gwiazdach".

„Pomocnik gospodarzy klas", pan — dajmy na to,— Sorokin, a raczej „Ryży", wiedział doskonale, jakie każdemu z nas gwiazdy świecą, w jakim punkcie miasta, w którym domu i w którem oknie. Był to elegancki jegomość w pełni lat męskich, z rudą bródką, starannie utrzymaną, i czerwonemi włosami, których uczesaniu poświęcał wiele czasu. Nosił buciki najmodniejszego fasonu, lakierowane, na wysokich obcasach, — paltocik zaprasowany i oczyszczony idealnie, — jedwabną chustkę na szyi, nieposzlakowany melonik i rękawiczki koloru sang-de-boeuf. Wszystko w nim i na nim było wytworne, lekkie, powiewne, — z wyjątkiem laski. Laskę nosił wyjątkowo grubą, krzywulę o gałce potężnej na końcu zgięcia rękojeści, z ołowiu, czy metalu. Tą to laską subtelny „Ryży" umiał manewrować w sposób niezrównany. Gdy przestępca gimnazjalny, dostrzeżony zdala wieczorem zaczynał przed tropicielem „wiać", jako wiatr wieje, a raczej, jak wieją młode i zdrowe nogi siedmnastoletnie, „Ryży" puszczał się za uciekającym w pogoń również, jak wiatr, na swych giętkich i cienkich kończynach, — lecz do pewnej tylko granicy. W momencie, uznanym za nieomylnie odpowiedni, znakomitym rzutem po ziemi puszczał swą krzywulę w taki sposób, że upadała między nogi drapichrusta i obalała go na ziemię. Wówczas „Ryży", niby zwinny kot, dopadał ofiary i łagodnie ciągnął ją do protokułu, który dla kończących gimnazjum, mógł mieć następstwa fatalne, aż do uniemożliwienia matury. „Ryży" był nad wyraz uprzejmy: kłaniał się nam do ziemi swym okągłym melonikiem i wytwornemi ruchy światowca. Gdy czegokolwiek od niego żądano, spełniał wszystko ochotnie, w podskokach. Był szpiclem, przystawionym do nas specjalnie, to też znał się na nas, jak rzeczoznawca na towarze. My również przypatrzyliśmy się jemu dokładnie, przejrzeliśmy go od góry do dołu i naprzestrzał. Wiedzieliśmy, jakie są jego obyczaje, maniery, narowy i amory. Spostrzegliśmy gdzie i kiedy bywa, co robi i mówi, i mieliśmy zanotowany każdy z jego beznadziejnych uśmiechów na widok młodocianych piękności naszego starego grodu. Dziś można już nawet nie robić tajemnicy, tak przecie długo „konspirowanej", z tego faktu, że w pewnym ciemnym kącie Pocztowej ulicy spraliśmy rudą fizys tak należycie i tak dokładnie, że nasz pedagog nawet nie „zrobił użytku" z tego zamachu i nikomu się nie poskarżył. Za to miał nas wszystkich na oku, na sercu, na wątrobie i na śledzionie. Pamiętał o nas wrażliwością swych różanych policzków.

W tym czasie najbliższy mój przyjaciel, Jan Wacław Machajski, mieszkał u pewnej zamożnej rodziny, gdzie za lekcje, czyli tak zwane „korepy", udzielane dwu chłopcom, miał pokój i utrzymanie, — ja zaś w podobny sposób przeżywiałem się u innej familji, wzamian za ciężkie „korepy", udzielane dwojgu nad-matołków. Mieszkania nasze mieściły się w tej samej okolicy miasta, przedzielone podmiejskiemi placami, ogrodami i łąkami. Zawikłana kombinacja uliczek, przesmyków, kładek i przełazów między wielkiemi parkanami, brudna i błotnista ponad wszelkie europejskie wyobrażenie, łączyła nasze ówczesne legowiska. Dom, gdzie mieszkał Jan Wacław, stał, a właściwie głęboko siedział w dużym i cienistym ogrodzie, otoczonym wysokiemi murami. Front domu wychylał się z ogrodu na olbrzymi dziedziniec, istny plac publiczny, zastawiony wokół murowanemi składami i magazynami o ślepych oknach i kutych drzwiach. Był to jakiś niefunkcjonujący już browar, przerobiony już to na mieszkania, już na składy sklepowe. Cała ta posesja, jak wielki prostokąt, przylegała do dwu szerokich ulic, a w każdej z tych ulic prowadziła do jej wnętrza duża brama. Długa i rozłożysta ulica „Warszawska", biegnąca wzdłuż owej posesji, miała conajmniej połowę swej rozległości zajętą przez ślepe ściany składów i wysoki mur ogrodu. W jednem tylko miejscu te nieskończenie nudne, jakby florenckie mury, przerywała pierwsza z bram, prowadząca na wielki dziedziniec.

Lekcje moje popołudniowe na mieście i korepetycje wieczorne w domu kończyły sie dopiero około godziny dziesiątej. O tej porze mogłem brać się do swoich własnych zadań. Dla ułatwienia sobie roboty szedłem niemal codziennie po godzinie dziesiątej wieczorem do Jana Wacława dla odrabiania z nim razem jutrzejszych „kawałków", albo, co się zdarzało najczęściej, dla wspólnego czytania i zapamiętałego dyskutowania aż do późnej godziny.

Czytaliśmy, co tylko gdzie było na placu, w jakiejkolwiek szafie: Wiktora Hugo i Karola Libelta, Słowackiego i Turgeniewa, Henryka Tomasza Buckle'a i Brandesa, Mickiewicza i Drapera, Quineta i Sienkiwicza.

Czasami, w księżycowe noce wykradaliśmy się przez okno i jedną z owych starych bram, chyłkiem za miasto, na przedmieście zwane „Pocieszką", aż na odludną szosę Warszawską. Tam w pustce, zupełnej, podczas cichej nocy, Jan Wacław wygłaszał monolog Nika z „Marji Stuart", wiersz do matki, lub „Grób Agamemnona" Słowackiego. Nik — była to główna i najbardziej imponująca rola w repertuarze Jana Wacława. Nie była jednak jedyną. Pasowała najbardziej do jego temperamentu upodobań, brzmienia głosu, — „grała się sama". Jan Wacław, prymus wieczny i kandydat do złotego medalu wyobrażał sobie podowczas, że jest najznakomitszym na kuli ziemskiej aktorem, wielkim tragikiem i płomiennym artystą. Nosił długie włosy, tak zakazanie i karygodnie długie, iż niemało wycierpiał prześladowań od dyrektora gimnazjum Siewierjana Januarjewicza Woronkowa, srogiego (z wierzchu) tyrana, a niedołężnego w gruncie rzeczy safanduły. Żadne wszakże kary, groźby i wrzaski, tupanie nogami i neronowskie nastawianie okularów na długowłosego winowajcę nie mogły skłonić Jana Wacława do ostrzyżenia absalonowych puklów.

Długie włosy bardziej, niż temu prymusowi byłyby „śpilowały" mnie samemu, gimnazjalnemu, kielecko-miejskiemu, jedynemu na powiat, a kto wie czy nie na gubernię, poecie, autorowi sławnych na całą naszą klasę i cieszących się zasłużoną poczytnością dramatów. „Cola di Rienzi", „Savonarola", „Zbrodnia na Radostowie" i bardzo wielu innych, — bruljonów, grubych, jak słownik Knapskiego, pełnych poematów w „dwunastu pieśniach", liryk, „przenikliwych" studjów, krytyk, inwektyw, polemik, filipik. Jan Wacław mógł sobie pozwolić na długie włosy. Nic sobie nie robił z wykrzykników Siewierjana Januarjewicza:

— Juvenis! Zapowiadam, że nie zobaczysz matury, jak swoich własnych uszu...

Ja strzygłem swe kędziory, byleby choć w ten sposób zażegnywać licho. Jan Wacław marzył o zagraniu wielkiej roli.

— Raz zagrać wielką rolę i skonać! — wyło się wówczas, wyciągając ręce do wiernego współtowarzysza, księżyca, na szosie warszawskiej i powierzając temu cierpliwemu słuchaczowi skargi, inwektywy i szyderstwa ukochanych poetów z niemałym krzykiem.

Zatopiony wówczas po same uszy w Słowackim Jan Wacław nie przeczuwał, iż wypadnie mu zagrać „wielką rolę" na scenie sto tysięcy razy większej, niż ją zakreślała młodzieńcza wyobraźnia, na olbrzymiej arenie Sybiru, Rosji, Francji, że to on, Nik zapamiętały z naszej wspólnej ławki, stanie się społecznym herezjarchą, wodzem tłumów, krwawym mistrzem w dziele tworzenia rewolucji proletarjackiej i że wielkie rzesze nędzarzy, brodjagów, baciarów, bez domu i mienia iść będą za nim w ogień i wodę, ślepo wierząc w jego dziką „machajewszczyznę". Ośmnastoletnie serce ani wiedziało wówczas, ile ta rola kosztować będzie. gdzie poniesie i pogoni ciało człowiecze, na jakie je skaże „vincula. vulnera, exilium", jak je z granic ojczyzny wypędzi i nękać będzie, zaiste, gorzej, niż same krótka śmierć.

Pewnego wieczora, idąc, według zwyczaju, po godzinie dziesiątej do przyjaciela, wybrnąłem z brudnych przejść bocznych i dostałem się na szeroką „Warszawską" ulicę, zaopatrzoną już w wąski chodnik z betonu. Świecił księżyc, przesłaniany raz wraz przez chmury, które wiatr szybko pędził przed wspaniałą lśniącą tarczą. Minąłem całą długość ogrodowego muru i przyszedłem do pierwszej bramy, prowadzącej na wielki dziedziniec. Było to stare bramisko, wieczyście na ślepo i na głucho zawarte, dolną krawędzią swą wrośnięte w błoto i osaczone badylami trawy. Jedynie furtka była ruchoma w tej ogromnej machinie. Ale i furtka, przez nikogo nigdy nie zamykana, wisiała na swych zardzewiałych wrzeciądzach w pozycji raz obranej za właściwą i dogodną, w stanie zasłużonego spoczynku. Mijało się tę uchyloną furtkę, nie wiedząc o tem, że ona tam jest i że się poruszać może. Tego wieczora stanąłem obok niej w zdumieniu: była zamknięta. Gdy usiłowałem pchnąć ją i otworzyć, zauważyłem, że rygle klamki puściłyby może pod naporem, lecz że ktoś z drugiej strony bramy siłą podpiera dzwiczki i nie puszcza. Zapytałem tamtego, czy można przejść, ale nikt mi nie odpowiadał — chociaż czułem, że z tamtej strony jest człowiek. Spróbowawszy jeszcze raz, drugi i trzeci otworzyłem zamek z tym samym skutkiem, nie mogąc zrozumieć, co to znaczy, postanowiłem wejść na dziedziniec przez drugą bramę, z ulicy przylegającej pod prostym kątem do „Warszawskiej". Ruszyłem szybko przed siebie. Ulica podnosiła się łagodnie ku górze, a że księżyc wypłynął był właśnie z poza chmur, widać było betonowy chodnik na całej przestrzeni. Śpiesząc tym chodnikiem pod górę, spostrzegłem nagle „Ryżego". Szedł z pośpiechem na moje spotkanie. Domyśliłem się, że to on nie puszczał mię przez pierwszą bramę. Chciał mię pochwycić koniecznie „na ulicy" o późnej porze, — czy też pragnął nas obudwu z Panem Wacławem pochwycić na czytaniu „zakazanych" książek... W każdym razie zrozumiałem, że na nas obudwu w tej stronie poluje. Brama była zamknięta, mury ogrodowe niezmiernie długie i wysokie. Obliczywszy wszystko, widziałem jak na dłoni, że nie ucieknę: dopędzi mię, goniąc z góry na dół ulicą i schwyci przy pomocy swej lagi, którą będzie mógł puścić po równym chodniku. Miałem tylko jedno wyjście. Ponieważ „Ryży" był jeszcze o tyle zdala, że nie mógł mię dokładnie widzieć, gdyż księżyc szczęśliwie zakryła chmura, momentalnie przebiegłem na drugą stronę ulicy i, nie myśląc już o tem, co robię, rzuciłem się w pierwszą napotkaną bramę. Był to wybór najfatalniejszy, jaki zrobić mogłem. Tam właśnie mieścił się „zajazd", zwany „Warszawskim", używający zasłużenie jaknajgorszej w mieście opinji. Zawsze z okien tego parterowego hoteliku wyglądały gęby dziewuch, uczerwienione burakiem, wyświechtane i bezczelne. Zawsze z tych okien słychać było śpiewy pijaków, ryki oficerów rosyjskich i piski dam w jaskrawych spódnicach. Hotel ów był budynkiem długim i nizkim. Na tyłach swych miał wązkie podwórze, które wychodziło na ulicę dwiema bramami. Te bramy, jak na zjazd przystało, zawsze były gościnnie otwarte. W wązkie podwórze to jedną, to drugą bramą wtaczały się frachtowe żydowskie wozy, szlacheckie bryczki i chłopskie furmanki, nieświadome, zapewne, co się mieści w samym hotelu. Wbiegłszy pędem w jedną bramę zajezdną, przemknąłem cwałem, jakby mię kto batem popędzał, przez całą długość podwórza i, dopadłszy drugiej bramy, nie wybiegłem na ulicę, lecz sekretnie wślizgnąłem się za jej ogromną wrótnię. Dlaczego tak zrobiłem, nie wiem dotąd. Zaledwie się tam przyczaiłem, „Ryży" na paluszkach wsunął się w tę bramę właśnie, za której wierzeją byłem zaczajony. Jak doświadczony kot, na palcach pomknął w głąb podwórza i znikł za załamaniem budynku hotelowego, Mignęła jego sylwetka w blasku czerwonej latarni przy wejściu i znikła w ciemności długiego dziedzińca.

„Ryży" był pewny, że mię tam właśnie uciekającego spotka i chwyci w rozkrzyżowane ramiona, że mu wpadnę w objęcia, jak ryba do saka. Tymczasem ja, ujrzawszy przez szparę między murem a wrótnią, że poszedł w głąb podwórza, wysunąłem się z tej bramy na ulicę i pognałem do domu „co koń wyskoczy".

Jeżeli ja zdołałem wymknąć się „Ryżemu", wskutek mocy działania instynktownego impulsu, podświadomego natchnienia, „zapalenia duszy", które w istocie rzeczy

jest samem twórczem życiem, chwilowem jasnowidzeniem celu i środków, objęciem i zmierzeniem niebezpieczeństwa, a zarazem znalezieniem sposobu ratunku i samem wykonaniem nieomylnej obrony, — to on działał przeciwnie: wykonywał swój akt najzupełniej świadomy, podyktowany przez przebiegły i wyrachowany umysł. Nie pobiegł za mną w bramę, do której się schroniłem, lecz rzucił się do przeciwległej, wiedząc z matematyczną dokładnością na mocy znajomości tego domu i dziedzińca, że będę cwałem zmykał do tamtej bramy i wobec tego muszę się z nim spotkać. Jakiż miał świetny pomysł! Byłby mię o późnej godzinie pojmał w hoteliku „Warszawskim", na dziedzińcu instytucji, którą za Herodotem nazywaliśmy w naszej gwarze „to bjkema". — Byłby mię miał w ręku w takim domu, a mszcząc się za wszystko i za wszystkich na mnie, zgubiłby mię bezlitośnie i bezpowrotnie. Nie tylko przepadłaby matura, ale zwichnęłoby się całe życie. Jakże bowiem byłbym wytłumaczył swoją obecność w nocy na tamtem podwórzu? Co tam robiłem? Dokąd szedłem? Po co tam wlazłem? Ktoby uwierzył w jakiekolwiek wyjaśnienie? „Ryży" znał się doskonale na rozkładzie tej posesji, bo to nie my, lecz on właśnie w dobranem towarzystwie współrodaków tam bywał. Działał tedy na pewniaka.

Nie schwytawszy mię na podwórzu, nie znalazłszy nigdzie w zakamarkach tej budy, otoczonej ze wszech stron wysokiemi parkanami, musiał zapewne, przeszukać i samo rozkoszne wnętrze hoteliku.

Tymczasem ja, przycwałowawszy do siebie, co tchu zapaliłem lampę i zasiadłem do lekcji. Z nosem, utopionym w podręcznikach i kajetach, nasłuchiwałem. Okno mej izby, — a właściwie odcinka śpiżarni, przedzielonego cienkiemi deskami od tego zbiorowiska wędlin, serów i szczurów,—wychodziło na obszerne, puste place, zastawione tam i sam lichemi domami przedmieścia. Dolne jego ramy tkwiły tuż nad samą ziemią. Gdy upłynęło jakie pół godziny od mego powrotu do domu, usłyszałem w ciszy nocnej kroki. Przyuczone do ciszy i odgłosów tamecznych stąpań ludzkich, moje ucho odróżniło każde z obcych po zmarzniętej ziemi. „Ryży" podpatrywał mię. Zachodził to z jednej, to z drugiej strony, zaglądał z jednego i drugiego boku. Siedziałem przy stoliku, pozornie zapracowany, zaczytany w mych książkach, czując szpiega za ścianą całem jestestwem. Wreszcie zobaczyłem go z pod oka, gdy mijał plac na palcach, w oddali.

Nazajutrz rano szedłem do klasy, zapięty na wszystkie guziki i obarczony książkami w sposób prawidłowy. „Ryży", defilujący po naszym szkolnym korytarzu, co należało do jego codziennych obowiązków, przywitał mię miłym uśmiechem. Na mój ukłon odpowiedział najwdzięczniejszem pochyleniem giętkiego korpusu. A gdym go już wymijał, szepnął z cicha, przymykając oczy z mniemanym zachwytem:

— Mołodiec!

Zdziwiony nadzwyczajnie, zapytałem, co znaczy ta jego pochwała. „Ryży" pokiwał uczesaną główką i wykonał palcami nieokreślony, zagadkowy ruch w powietrzu. Uśmiech jego nie był w owej chwili przyjemny.

„Mołodiec" — a więc zuch, chwat... Któż wie, komu się w istocie należy ten pochwalny epitet z racji wybiegu. Ja go spłatałem w praktyce naszemu układnemu pedagogowi, ale do wykonania podała go jakaś siła nie moja, niemal zewnętrzna, niczem ręka niewidzialna, popychająca i władcza.

STEFAN ŻEROMSKI

PAMIĘCI AUTORA „POPIOŁÓW"

POCHÓD

NA gościńcu dzwoniły tysiączne podkowy
Bohaterską fantazję. Słyszałem wyraźnie,
Że przewodnie motywy jej dźwięczały właśnie
Z pod ostrokutych kopyt mojego kasztana.

Takt rytmicznego stępa wybijały pulsa
Ugniatane przyciasną podpinką kaszkietu,
A serce trzepotało się, niby ptak młody
Zamknięty w zbudowanej z sztywnych żeber klatce.

Jechałem w przedostatnim szeregu szwadronu,
Między druhami mymi Krzysiem i Rafałem.
(Potomkowie sławetnych swoich imienników.)

Rafałek miał, jak zwykle minę nieczytelną,
Zaś Krzyś osłonił oczy cudnych rzęs piórami
I wsłuchał się w melodję tętna i tententu.

BIWAK

POKOTEM wokół watry legło towarzyszy
Nas trzech Na rozżarzonych czerwieńców pościeli
Zdychał zewłok zwęglonej kłody. Nim spopieli
Go żar, błyska ślepiami i przysiągłbyś — dyszy.

Trzask paliwa bynajmniej nie zakłócał ciszy.
Przeciwnie: uwydatniał ją. Jak mgła z topieli
Dym z ogniska szedł w pola. Rzekłbyś, że się bieli
Na przełaj ich kroczący jakiś pochód mniszy.

Na niebo wóz złocisty wyjechał i gwiazdy
Zaczęły mrugać: tak mnie nęciły do jazdy.
Obiecywały zawieść w raju kraj daleki.

Patrząc w roziskrzonego firmamentu blaski,
Myślałem, jak się dostać do owej kolaski.
Póki mi nie skleiły się senne powieki.

ZMORA

OCKNĄŁEM się śród nocy na karczemnej ławie.
Było twardo, więc srodze bolały mnie gnaty.
Na dobitkę cedziły przeciąg płaszcza łaty.
Z zimna i niewygody byłem chory prawie.

Znów zasnąłem. Przyśniły mi się pióra pawie
Malowane na fałdach atłasowej szaty,
A potem straszna zmora: wisielec pejsaty
Przeraziła mnie gorzej, niż ongiś na jawie.

Zbudziłem się powtórnie zlany zimnym potem,
Trwoga mi druzgotała piersi serca młotem,
Ratunku przed obłędem szukałem w pacierzu.

Przez szparę w drzwiach nieszczelnych przesiąkał blask świécy,
I histeryczny chichot młodej żydówicy
Z którą Rafalek igrał w przyległym alkierzu.

KULE

Z SZUMEM i ćwierkotaniem mnogie ciągle stada
Kolibrów niewielkiego kalibru, spłoszone
Za swych gniazd — magazynów fruną w naszą stronę.
Trafiają często. Gęsty trup na pole pada.

Chwilami artylerji głuszy kanonada
Jazgot karabinowych kul, lecz wkrótce one
Ozwą się znów, jak ptasie sejmy rozprószone.
Podsłuchałem, co każdy taki ptaszek gada.

— Huzia! Śmierć wam stalowe niosą dzioby nasze!
— Huzia! Chybię, lecz przedtem śmiertelnie przestraszę!
— Huzia! Niżej kłaniajcie się nam nędzni tchórze!

— Stój, albo palnę w plecy! Niech cię licho bierze!
— Kocham Cię. Pocałować daj się kawalerze...
Pozwól kwiat purpurowy przypiąć na mundurze.

STEFAN JÓZEF GODLEWSKI

LIBERUM VETO

Pan Grabski wyciągnął konsekwencje. — Jak zbawcy pojmują „grozę położenia". — Targ straganów. — Memorjał przedstawicieli organizacyj gospodarczych. — P. Skrzyński i jego zawodna metoda. — Sztywność mężów stanu.—Do czego zdolna jest demagogja.

PAN Wł. Grabski, „wyciągnąwszy konsekwencje" ze swej dotychczasowej działalności i oświadczywszy, że je wyciągnął z zachowania się Sejmu względem jego osoby, opuścił ster nawy państwowej i odszedł w stan (prawdopodobnie czasowego) spoczynku. Pozostawił on po sobie dwa głębokie ślady: wielką zasługę stworzenia stałej waluty i wielki błąd wycieńczenia i sparaliżowania organizmu gospodarczego. Utkwiwszy wzrok w jeden punkt—cedułę giełdową, nie widział, że równolegle z podniesieniem się jej termometru spadał groźnie poziom dobrobytu społecznego. Przez dwa lata trwał uparcie w swojej omyłce, pomimo, że mu na nią ze wszystkich stron rzucano silne smugi światła. Zdaje mi się, że skutki tej omyłki nie wyleczyły go z uporu, ale wskazały mu, że powinien ją przerwać i ustąpić. Jako człowiek uczciwy i obywatel prawy usłuchał tego ostrzeżenia.

Ponieważ stan ekonomiczny kraju wszedł w okres ciężkiej choroby, spotęgowanej konwulsjami komunisto-socjalistycznemi; ponieważ nikt nie widział ani drogi wyjścia, ani człowieka, któryby ją odnalazł i wyprowadził społeczeństwo z niebezpieczeństwa, więc po ustąpieniu p. Grabskiego zapanowała trwoga, a w niej okrzyk: wszyscy odczuwamy grozę położenia! Jakoż zaczęło się to odczuwanie przy tworzeniu nowego rządu. Grupy sejmowe uznawszy, że trzeba zapomnieć o interesach osobistych i partyjnych i złożyć gabinet koalicyjny, rodzaj maleńkiej arki Noego, rozpoczęły targ o cenę swego udziału w usuwaniu „grozy położenia". Nie szło to gładko. Nie trzeba zapominać, że są stronnictwa, dla których Polska jest stadem ich kur, które muszą być utuczone i zamienione na pulardy, że amatorów do objęcia tek ministerjalnych znajduje się w samym Sejmie paruset a po za Sejmem legion i że wielu posłów posiada pod swym wpływem rozmaite specjalnie dla ich pożytku utworzone urzędy; że wielu znajduje się w toku przeprowadzania w rządzie pokrytych tajemnicą interesów dla swych wspólników, że niektórzy wodzireje muszą dąć w trąby demagogiczne z całej siły dla utrzymania swych mandatów; że wogóle „trzeba bronić" nie Polski, ale jakiegoś drobniutkiego jej ułamka, zwanego partją. Wielokrotnie i niewątpliwie stwierdzono, że „groza położenia" wymaga dwu zmian: oszczędności w wydatkach państwowych i zwiększenia wydajności pracy. Ale jak tego dokonać, kiedy owe drobiny Polski żyją z opieki nad próżniactwem i marnotrawstwem, które stanowią główną podstawę ich „programów"? Żądać od patronów nieróbstwa i rozrzutności, ażeby się zgodzili na „sanację", jest to wymagać od ryb, ażeby się zgodziły na wypuszczenie ze stawu wody. Wyobraźmy sobie taką np. scenę. P. Skrzyński, powołany do utworzenia gabinetu, przedstawia jednemu z klubów parlamentarnych „wspólną platformę", która wymagać będzie zniesienia zbytecznego departamentu w jakiemś ministerjum. Nigdy na to nie pozwolimy — odpowiada prezes klubu — ten departament jest obsadzony przez naszych ludzi, którzy nie mogą stracić posad. Takich scen przy targach mogą się rozegrać setki. Ogólna zatem formuła „porozumienia" dałaby się wyrazić w tem brzmieniu: Godzimy się na oszczędności i na powiększenie wydajności pracy, ale tylko o tyle, o ile ta „sanacja" nie dotyczy naszych ludzi. Kwadratura koła jest daleko łatwiejsza do rozwiązania, niż zjednoczenie stronnictw tak odczuwających „grozę położenia". To też prędzej uwierzę we wszystkie nieprawdopodobieństwa — w to, że najświetniejsze gwiazdy oprawione będą w pierścionki, że „wyzwoleńcy" złożą wieniec na grobie obszarnika Rejtena, że Żydzi obchodzić będą uroczyście rocznice bitew pod Grunwaldem i Racławicami i t. p. — niż że wszystkie bez wyjątku partje sejmowe zgodzą się na łączne ratowanie całej Polski. Tem cackiem nie zechcą się bawić nawet dzieci, które już umieją odróżnić rękę prawą od lewej.

Przedstawiciele organizacyj gospodarczych złożyli Prezydentowi memorjał, będący rodzajem wyroku śmierci Polski, który będzie na niej wykonany, jeżeli dłużej potrwają obecne stosunki ekonomiczne i administracyjne. Zabija ją nędza, rozstrój, bezwład sił twórczych i tak zwane „zdobycze społeczne". Wszystkie czynniki państwa pracują nad jego zgubą. „Prawie każdy urzędnik myśli nie o tem, jak w sposób najszybszy załatwić daną sprawę, lecz na kogo przerzucić odpowiedzialność za jej zdecydowanie. W rezultacie odbywa się niezmiernie powolne uzgadnianie poglądów między urzędami a sprawy leżą i nie mogą doczekać się swego rozstrzygnięcia. I w tem jest jedna z najistotniejszych przyczyn ospałości i gnuśności naszego życia, bo w tych warunkach nawet przy najdzielniejszych poczynaniach opadają ręce". Pandora galicyjska między innemi darami przyniosła nam w swej puszce nieznany przedtem wyraz i nieznaną rzecz — *uzgodnienie*. Ten jeden wyraz doprowadza ludzi stykających się z urzędami do wściekłości, rozpaczy a często do ruiny, on również wygnał setki Polaków amerykańskich, którzy przybywszy do kraju z najlepszemi chęciami i obfitemi środkami, uciekli nie doczekawszy końca „uzgodnień" w swoich przedsięwzięciach. „Kochamy Polskę — mówili przy pożegnaniu — ale wolimy do niej tęsknić z daleka, niż w niej żyć śród uzgodnień i zdobyczy społecznych". Tego nie wytrzyma żaden kulturalny człowiek, to wytrzymać może tylko zahartowany w niewoli do znoszenia wszelkich gwałtów i do słuchania najgłupszych rozkazów Polak.

P. Skrzyński, któremu Prezydent powierzył sprawę utworzenia gabinetu, przeniósł swoją metodę schlebiania, głaskania, ustępowania i zadowolenia na pole stosunków wewnętrznych i przegrał pierwszą partję. Wynik ten był naturalny. Stosunki te doszły do takiego zaostrzenia i pogrążyły kraj w taki odmęt, że najzręczniejsza łatanina ani pokoju nie sprowadzi, ani niebezpieczeństwa nie odwróci. Tu nie chodzi o pogodzenie przeciwników przy cukrowej kolacji ze słodką mową i toastem: „kochajmy się" na kilka tygodni lub miesięcy, ale o stoczenie rozstrzygającej bitwy, o stanowcze zwycięstwo jasnego kierunku i wprowadzenie trwałego ładu. To osiągnąć mogą tylko ludzie mocni, śmiali, nieugięci, nie kauczukowi. Zazdrościmy Włochom Mussoliniego nawet wtedy, gdy nie godzimy się na jego przekonania polityczne, bo przedewszystkiem zazdrościmy charakteru, wielkiej energji i odwagi. P. Wł. Grabski miał dużo cennych zalet męża stanu, ale nie miał jednego — dostatecznej twardości w stosunku do atakujących lub kuszących go stronnictw, nie był — jak mówią anglicy — *stiff*, sztywny, i pozwalał się zginać. Czy jego następca, jako naczelnik rządu (bo o skarb jesteśmy spokojni), będzie posiadał ten konieczny przymiot? Można wątpić, dopóki jesteśmy jeszcze ciągle w okresie kłótni, awantur, przygryzków, targów i kompromisów. Nasz Sejm nie jest areną walki atletów, ale bazarem straganów i szynków. Dopóki nie będzie zmieniona ordynacja wyborcza, dopóki nasz parlament nie będzie doborem ludzi najlepszych, lecz tłumem wygniataczów foteli i drużynami demagogów, dopóty nie ma mowy o tem, ażeby on stał się regulatorem naszego życia państwowego i kulturalnego. Taka radykalna demokracja, jak nasza, może

być dobra w społeczeństwie obywateli śmiałych, do czynnego udziału w tem życiu zdolnych; ale w narodzie analfabetów, głuptasów, karjerowiczów i wichrzycieli, w narodzie, którego ogromna większość jest ciemnym tłumem, może być tylko siłą rozkładową. Wszystkie demagogiczne wrzaski, wiece, artykuły, sztandary nie zastąpią szkoły, ani doświadczenia, ani zasługi, nie sprawią tego cudu, ażeby dzisiejszy amator żołnierstwa był jutro dobrym generałem, a kantorowicz lub pokątny doradca — dobrym ministrem. Kierownicy państwa, swego najtrudniejszego śród zadań ludzkich zajęcia muszą się uczyć i wznosić się po wielu szczeblach na wysokie stanowiska. Tymczasem u nas u podnóża góry stoi wielka gromada pospolitaków, którzy nagłym rzutem chcą wskoczyć na jej szczyt. I wskakują. Tylko, że wysoka góra zniża się wtedy dla nich do kupki kretowiska. A im się zdaje, że swojemi główkami „bodą niebo".

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

POGRZEB Ś. P. STEFANA ŻEROMSKIEGO

NA początku zeszytu dajemy z powodu śmierci Stefana Żeromskiego parę ogólnych uwag o związku, jaki zachodzi między nim, jako wielkim poetą, a nastrojem umysłowym pewnych grup inteligencji w Polsce. Pogrzeb był manifestacją na wielką skalę, urządzoną przez wielbicieli zmarłego, podniósł ją do znaczenia narodowego. Prezydent Rzplitej, z którym osobiście w dawnych czasach łączył zmarłego stosunek przyjaźni, obecny był na pogrzebie, a poprzednio złożył hołd jego zwłokom. Minister oświaty Stan. Grabski wygłosił na Zamku, gdzie zmarł Żeromski, piękną mowę. Pogrzeb odbył się na koszt państwa, wzięły w nim udział oddziały wojska i szkoły.

Mieliśmy przed sobą obraz uplastyczniony w żałobnym obrzędzie uznawania jednostki twórczej za wartość narodową historyczną. Nie bez wzruszenia uprzytomniliśmy sobie, że tylko własne państwo może być organem opieki nad cywilizacją narodową, nadto organem po ojcowsku wrażliwym na chwałę, jaką synowie przynoszą Ojczyźnie swym dorobkiem duchowym.

Pomyśleć tylko, ilu wielkich twórców ducha polskiego zeszło ze świata w czasach niewoli jako ludzie bezdomni, nawet bez ziemi polskiej na grób! Naród, nie mający, jak dziś, swego państwa, mogącego czuwać nad idealnemi dobrami cywilizacji, sam kreował wielkości: Porywał ducha zmarłych w krainę legendy, a nawet czynił wybór, którym prochom zapewnić miejsce w grobach królewskich. Nieomylny instynkt narodu w procesie, na lata rozłożonym, tworzył legendę i sarkofagi. Tak wyniósł Kościuszkę i Mickiewicza na Wawel.

Ten niezwykle złożony proces legendy, którą odżywia się duch narodu, w czasach wolności staje się doraźniejszy, ale natura samego procesu psychicznego odnajdywania się narodu w legendzie pozostaje zawsze ta sama. Legenda nie opiera się na tem, co pisze o twórcy krytyka, — ani na tem, za co go oddają opinji bieżącej ci, którzyby pragnęli z jego sławy zrobić użytek polityczny dla swego obozu. Legenda weźmie z niego tylko to, co potrzebne duchowi narodowemu, aby się nim odżywił.

Wobec tej siły selekcyjnej ducha narodowego, który tworzy legendę o wielkości i chwale, wszyscy żyjący jesteśmy bezsilni. Na Żeromskim już dziś widzimy, jak zawodne były usiłowania tych, którzy z niego uczynić chcieli oręż przeciwko tradycjom narodowego budowania cywilizacji. Wartości, które dał narodowi Żeromski, jako duch jego rasy, są wystarczające, aby nie liczyć się z tem wszystkiem, co narazie wydawać się mogło w jego tworach szkodliwem dla narodu.

Minister oświaty w swojej mowie pogrzebowej słusznie powiedział:

„Duchom twórczym naród oddaje hołd prawdziwy przez wzięcie do swej duszy i utrwalenie w myśli i uczuciu przyszłych pokoleń tego, co w ich twórczości było najbardziej życiodajnem".

I to jest proste ujęcie tajemnicy życia pośmiertnego wielkich ludzi. Narodu zmysł samozachowawczy doszukuje się w twórcach swoich tylko rzeczy dodatnich, ujemne grzebie ze zmarłym, jako jego słabość.

(X)

MŁODZIEŻ WSZECHPOLSKA

DNIA 22, 23 i 24 b. m. odbył się w Warszawie kongres Młodzieży Wszechpolskiej. Nie jest to zwykłe, pozbawione ogólnego znaczenia, wydarzenie życia studenckiego. Bo, jak słusznie zaznaczył przewodniczący zjazdu p. Tadeusz Bielecki, zjazd Młodzieży Wszechpolskiej „jest, czy się to komu podoba, czy nie, reprezentacją całej niemal młodej Polski dzisiejszej", reprezentacją olbrzymiej większości młodzieży, wśród której ideologja nacjonalistyczna, wszechpolska pełny odnosi triumf. Życie organizacyjne dzisiejszej młodzieży akademickiej: Naczelny Komitet Akademicki, Bratnie Pomoce, koła naukowe i t. p. w całej Polsce kierowane są przez wszechpolaków lub wyraźnie nacjonalistyczną ideologję wyznające „korporacje". Widoczne jest, że jesteśmy świadkami potężnego prądu, porywającego całe młode pokolenie, prądu, którego Młodzież Wszechpolska jest tylko najbardziej świadomym wyrazem, a który pod wpływem przeżyć i doświadczeń wojny wyzwolił młodą generację z pod władzy martwych doktryn socjalizmu czy liberalizmu oddając ją w służbę żywej i życie niosącej idei narodowej.

Młode pokolenie idzie dziś w życie pod sztandarem nacjonalizmu. Nietylko w Polsce zresztą, ale u wielu innych narodów Europy. Fakt ten nie może pozostać bez wpływu na bieg wydarzeń, na kształtowanie się stosunków najbliższej przyszłości. Kończy się okres, gdy dobru narodu można było z powodzeniem przeciwstawiać mózgowe doktryny, wywołując zamęt w umysłowości inteligencji. Nakaz życia zwycięża. Nadchodzą nowe czasy, nowe staje do pracy pokolenie...

ROLA NARODOWEJ DEMOKRACJI W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

(ODEZWA PRZEDWYBORCZA MICHAŁA BOBRZYŃSKIEGO)

UMYSŁ ludzki jest słaby, a natura ułomna. Wszyscy błądzą i grzeszą. Ale żeby duże stronnictwo, mające za sobą dziasiątki lat działalności i obejmujące niemałą część inteligencji, nie dało krajowi nic, prócz głupstwa i występku, to już prawdziwy dopust Boży. I naodwrót, trudno nie wielbić Opatrzności, która naprzekór owemu stronnictwu dotychczas jakoś konserwuje Polskę na mapie świata, a nawet, jak mówią, prowadzi ją do lepszego jutra.

Anonimowy autor „Wskrzeszenia Państwa Polskiego", którego drugi tom świeżo opuścił prasę, wyzyskuje swe doświadczenie długoletnie w sprawach publicznych, aby raz wreszcie zedrzeć maskę z oblicza Narodowej Demokracji. Co ona dała Polsce od zakończenia wojny światowej?

Zaczęła od „czarnego przedstawienia niemocy polskiej" aljantom (10), nie wierzyła bowiem, że na obsza-

rze Kongresówki istniało już od 5 listopada 1916 r. państwo polskie „niepodległe“ (10). Daszyńskiemu i Witosowi umożliwiła osiągnięcie celu w Krakowie, t. j. utworzenie frondy przeciw gabinetowi Świeżyńskiego, bo przedewszystkiem chciała usunąć od wpływu austrofilskich konserwatystów. Rzuciła na żer ludowcom i socjalistom Radę Regencyjną (15); zapowiadając „rząd narodowy“ przemyciła użycie słowa „narodowy“ w znaczeniu narodowo-demokratyczny, a tem samem rzuciła „płonącą żagiew w życie nasze publiczne“ (16). Apelowała do „pracującego ludu polskiego“, chciała podporządkować interesy warstw uprzywilejowanych dobru ojczyzny—pierwsza więc dała przykład demagogji. Przeciwnie, program Piłsudskiego, zbliżony do programu Rady Regencyjnej, „górował niezmiernie nad programem demagogicznym rządu Świeżyńskiego“.

Nikt inny, jak N. D-cja ponosi odpowiedzialność za „wojnę domową“ w Galicji, ona bowiem przeszkodziła przed wojną ugodzie Polaków z „Ukraińcami“ (30). Jak słabe było w kraju zaufanie do komitetu Paryskiego, dowodem najlepszym to, że nie mógł wydatków swoich opędzić ze składek, skutkiem czego musiał „się prosić“ o subwencje od Francji i Anglji. Ten komitet niepotrzebnie oskarżał rodaków o germanofilstwo, i źle robił, gdy nie chciał się poddać władzy Moraczewskiego (39), niepotrzebnie odmawiał wysłania armji Hallera do kraju, czem narażał Cieszyn na czeską inwazję, a Lwów na ciężkie zmagania (41). Gdyby nie hr. Kessler, nie otrzymalibyśmy od Niemców pięciu powiatów podlaskich (43). Stanisław Grabski niby to przyjechał szukać porozumienia ze wszystkiemi czynnikami, a tymczasem najwybitniejszych aktywistów N-D-cja wpisała „imiennie na listę proskrypcyjną“. Cóż z tego, że Grabski przed konstytuantą zalecał jakąś „Naczelną radę narodową“ obok rządu: to był pomysł „dziwaczny i bałamutny“, wnoszący „zamęt“ (47) w prawidłowe stosunki ery Moraczewskiego. Wogóle „marna i szkodliwa była walka N-Decji z Naczelnikiem Państwa“, skoro wybory odbyły się spokojnie, a Sejm jednomyślnie powziął uchwałę, oddającą Piłsudskiemu godność Naczelnika Państwa (48). Niestety w Małej konstytucji złamano pięknie przedtem ugruntowaną „zasadę równowagi władz“ (49).

Na konferencji pokojowej, gdzie w braku Austrji „mniejsze narody... piekły swoją pieczeń“, Dmowski miał możność i obowiązek wytłumaczenia koalicji, że cała Polska stoi w jej obozie (od 7 października 1918 r.); cóż kiedy sam „przybył do Paryża obciążony swoją przeszłością polityczną, a w szczególności hasłem bezwzględnej walki Polski z Niemcami i Austrją“ (52). Żądał dla Polski także Górnego Śląska i pasa południowego Prus Wschodnich, „gdzie ogół ludności nietylko mówi, ale i myśli i czuje po polsku“. „Nie wiedzieć, czy tem łudzić chciał zagranicę, czy też łudził i samego siebie“ (55). „Było wprost zaślepieniem“, że probował zyskać zgodę Wilsona na przyłączenie Galicji Wschodniej do Polski (59). Tymczasem „wojna światowa dokonała takiego przewrotu pojęć i stosunków, że żądanie granic historycznych ze strony Polski nie byłoby czemś nadzwyczajnem“ (60). Sejm (oczywiście pod komendą N-D-cji) wzywając Rząd i Naczel-Dowództwo do trwałego zjednoczenia Wilna z Polską, „usprawiedliwił czyniony nam zarzut imperjalizmu“; naprawił rzecz Piłsudski pamiętną odezwą („Wasz Kraj“), ale znów popsuli wszystko swoim apelem do Unji i 3 Maja—narodowi demokraci (70). Nie słuchano dobrych rad federalisty Paderewskiego, a że były one dobre, wiemy z jego własnych ust (od niego wprost zaczerpnął autor treść str. 77—80); nic dziwnego, że traktat wywołał w Polsce wrażenie przygnębiające (84). Na narodowych demokratów spadła „odpowiedzialność za wszystko, czego w traktacie brakło i za to, co interesom i aspiracjom Polski się sprzeciwiało“ (85). Gdybyż tylko za to! Dmowski odpowiedzialny jest i za zniszczenie Austro-Węgier, które przecież „sparzywszy się na sojuszu z Niemcami, odgrodzone przez Polskę od Rosji“, poszłyby pewno razem z Polską przeciw Niemcom i Rosji (90). Zamiast tego przykładał Dmowski rękę do budowy Czech!

A w polityce wewnętrznej cóż zawdzięczamy jego przyjaciołom? Wysuwali na czoło programu interes państwa i narodu, nawoływali do walki z Żydami, Niemcami i Rusinami: tą demagogją zdobyli znaczną liczbę mandatów. Odmawiając Naczelnikowi Państwa prawa veta i rozwięzania Sejmu, przeszkodzili powstaniu takiego rządu, któryby postulaty klasowe odłożył na rzecz postulatów państwa (103). Czy przynajmniej bronili ziemian przed reformą rolną? Nie, „zasadniczo" jej nie zwalczali. Czy pomagali do uporządkowania skarbowości? Nie! „Jedynemu znawcy waluty i finansów" Bilińskiemu nie dali folgi kilku miesięcy, aby pokazał, co umie (144); przedtem wprawdzie starali się go dla siebie zjednać, ale im się to nie powiodło (142). Czy ostrzegali przed ryzykowną polityką wobec sowietów w r. 1920? Tego nie widać (nawiasem mówiąc, autor tutaj wstrzymuje swój sąd o Piłsudskim); widać tylko, że N-D-cja wniosła w politykę i wojnę rozterkę (153). Zresztą Piłsudski nie zamierzał tworzyć państw ukraińskiego i białoruskiego, jak mu to zarzucali przeciwnicy, bo one już w zawiązku istniały, i można było je budować na podstawie zasad Wilsona (154).

Niektórzy sądzą, że N-D-cja walczyła o jakieś rozumne zasady konstytucyjne, np. o Senat. Złudzenie, ona tylko „kapitulowała“ przed obstrukcją, a zacnym członkom Klubu Pracy Konstytucyjnej, którzy robili „ustępstwa dla lewicy" — wymyślała od łajdaków (228 — 30). A ta walka o przyłączenie ziemi wileńskiej! Jak szpetnie pogrzebano wielką myśl odnowienia unji z Litwą historyczną (256). A ten konflikt czerwcowy 1922 r. z Naczelnikiem Państwa! Jak tam korzystano ze sposobności, aby Piłsudskiego skompromitować! (260).

Krótko mówiąc, co robił Dmowski w Paryżu? „Przegrywał“ (140). A co N-D-cja w kraju? Wywoływała „zamęt“, aż wydał „straszny owoc“ (272 — 4). To się nazywa pisać dzieje... po namiestnikowsku. Podziwiać konsekwencję, z jaką autor *tenax propositi sui* uprawia „krytykę ludzi“.

Podziwiać trzeba umiejętność, z jaką pomija trudne pytanie: co było możliwe, co było do wyboru, czy możliwe były rzeczy, których on żąda od N-D-cji, i do jakich wyników wiodła polityka jej nieprzyjaciół. Jak on sprytnie umie (67) zdezawuować Dmowskiego głosami mniejszości Komitetu (2 marca 1919 r.), o której dopiero na str. 233 zaznacza, że w niej byli socjaliści. Jak on zawczasu robi narodowym demokratą Eustachego Sapiehę (45), aby tego wiernego ministra, współpracownika Belwederu, obarczyć odpowiedzialnością za zły obrót spraw zagranicznych! Jak wspaniałomyślnie zalicza do N-D-cji w momencie kryzysu gospodarczego Władysława Grabskiego, którego całkiem po belwedersku oskarża o kapitulację w Spaa, ani słówkiem nie wdając się w ocenę imprezy kijowskiej. Jak łatwo rozprawia się z polityczną książką Dmowskiego, gdy gani ją, jako nieudatny „pamiętnik“ (292).

Niechże i nam wolno będzie skorzystać z tej samej swobody interpretacji, aby określić „Wskrzeszenie Państwa Polskiego“ jako udatną odezwę przedwyborczą do inteligencji.

ND

PRZEGLĄD POLITYCZNY

NOWY RZĄD

PRZESILENIE, wywołane ustąpieniem pozaparlamentarnego gabinetu p. Władysława Grabskiego, zakończyło się utworzeniem parlamentarnego „rządu zgody narodowej“ z p. Aleksandrem Skrzyńskim na czele. Wprawdzie nowy rząd p. Skrzyńskiego nie jest w ścisłem słowa znaczeniu rządem koalicyjnym, brak w nim bowiem (pomijając drobne, kilkuosobowe klubiki) przedstawicieli klubu chrześcijańsko-narodowego i „Wyzwolenia“; ma on jednak niezaprzecznie charakter koalicyjny, skoro zasiadają w nim równocześnie nacjonaliści i socjaliści, skoro obok przedstawicieli włościańskiego P. S. L. „Piasta“ wchodzą w skład rządu przywódcy wszystkich trzech głównych, współzawodniczących ze sobą stronnictw robotniczych. Fakt, iż Sejm wobec powagi położenia umiał zdobyć się na wytworzenie takiego rządu, niewątpliwie zwiększa jego autorytet w społeczeństwie, wzmacnia Państwo nawewnątrż i nazewnątrz.

Położenie zewnętrzne i wewnętrzne, przedewszystkiem zaś układ sił w Sejmie, gdzie czwartą część niemal stanowią obce i wrogie Polsce żywioły, oddawna już wskazywały konieczność wyrzeczenia się w chwili obecnej ideału ustroju parlamentarnego, jakim są rządy jednolitej pod względem programu większości. Już poprzedni pozaparlamentarny rząd p. Władysława Grabskiego dlatego tylko przez dwa lata zdołał utrzymać się u władzy, że miał poparcie jednocześnie prawicy i lewicy, Związku Ludowo-Narodowego i Polskiej Partji Socjalistycznej. Ale poparcie to z natury rzeczy było niepewne, bez brania odpowiedzialności. Okres bowiem naczelnikostwa p. Piłsudskiego tak dalece zaostrzył wewnętrzne walki partyjne, nadał im formy tak brutalne i bezwzględne, że długi czas jeszcze stronnictwa sromały się jawnie przystąpić do współpracy, ułożyć wzajemne stosunki w sposób kulturalniejszy i bardziej ogólnemu położeniu Państwa odpowiadający. Z tego też względu utworzenie rządu p. Skrzyńskiego jest przedewszystkiem triumfem *kultury politycznej*, wzrostu poczucia odpowiedzialności, zwiększenia wewnętrznej zwartości społeczeństwa. Opinja publiczna powitała je z radością i otuchą, oczekując iż rząd porozumienia łatwiej, niż inny, potrafi wyprowadzić Państwo z ciężkiego obecnego kryzysu.

Oczywiście, wzrost kultury politycznej, który przejawił się w utworzeniu rządu p. Skrzyńskiego, nie wszędzie daje się jeszcze zauważyć. Wypadki ostatnich dni wykazały jasno, iż jest Polsce ów „król rozterków, Warchoł“, który — jak Rej w „Wizerunku“ powiada:

„Miecz goły dzierży w ręce, a w drugiej *buławę*,
A z swojemi panięty ma jakąś rozprawę,
Którzy około niego wszędy hufy stoją“...

Sejmikowanie w Sulejówku, połączone z błyskaniem „zaprawionych w boju szabel“, niedopuszczalne wybryki niektórych oficerów w Wilnie, napaść uliczna na zasłużonego posła i publicystę—wszystko to jawne niestety świadectwo, iż „król rozterków, Warchoł“ żyje i działa, chcąc niszczyć konieczne dla Państwa dzieło porozumienia i współpracy.

W chwili, kiedy piszemy te słowa, nowy rząd nie przedstawił jeszcze Izbom prawodawnym swego programu, nie wiadome są jego zamierzenia. Ale wiadome jest, czego opinja polska od gabinetu p. Skrzyńskiego oczekuje. Oczekuje ona przedewszystkiem spokoju wewnętrznego, jako warunku pomyślnego przeprowadzenia głównego zadania rządu: naprawy położenia gospodarczego. I właśnie ze względu na ten spokój wewnętrzny, w imię którego rząd porozumienia został powołany, domaga się stanowczości bezwzględnej wobec czynników anarchji i rozstroju.

Przyszłość okaże, czy p. Skrzyński na tą konieczną stanowczość się zdobędzie, czy przeciwnie — że znów słowa Reja przytoczymy — będzie w chwilach decyzji „mdły a na wszytko snadnie nałomny“.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

JAN PAPINI

UKAZAŁA się nowa w przekładzie polskim książka Papiniego, pisarza, który w swoim czasie wywołał hałas książką przeciwko Bogu. Nowa praca ma tytuł: „Od człowieka do Boga. Studja o pragmatyzmie, polemiki religijne“. Przełożył Wincenty Rzymowski. Reklama, którą Żydzi otoczyli Papiniego ma swoje uzasadnienia w tem, że umysł tego pseudofilozofa jest charakterystyczny, niedojrzały, a pewny siebie i pretensjonalny. Żydzi z podziwu godną systematycznością i drobiazgowością reklamują dla „gojów“ wszelkie w dziedzinie kultury twory, które niosą dezorjentację, rozbicie, chaos, poniżenie i ośmieszenie ducha. I zawsze znajdują Polaczków którzy im w tem pomagają.

Książka Papiniego, telegraficznemi skrótami pisana, chaotyczna jest i pełna naiwnych sprzeczności. Na każdym kroku zdradza się w niej filozofoman, kolega grafomanów i piktomanów, manjak wiedzy filozoficznej, biedak, któremu nadmiar oczytania odebrał ostatnią myśl własną i z rąk usunął kierownicze koło logiki i samokrytycyzmu. Umysł Papiniego podobny jest do puszczonego samopas samochodu.

Na czterdziestu sześciu stronicach małej ósemki, stanowiących pierwszą część książki, autor rozprawia się ze wszystkiemi filozofjami i metafizykami świata, unicestwiając je ryczałtem i proponując swoją jedyną filozofję i metafizykę. Zwalcza werbalizm i ogólnikowość myślenia, a sam je stosuje i posuwa do absurdu. Wykazanie jego licznych błędów i sprzeczności wymagałoby całego tomu krytycznego, czyli zaszczytu, na który nieco rzetelniej zapracować trzeba.

Druga część książki poświęcona jest rozważaniu religji, a za punkt wyjścia bierze pragmatyzm James'a. Część ta nie zbudowana, rozwlekła i nudna gubi się ostatecznie w magizmie i „umiejętnościach imaginacyjnych“, jawnie już odsłaniając figle wykolejonego umysłu. Książkę kończy zawiła, mętna i bardzo płytka polemika z Croce'm i Gentile'm o istotę i określenie religji. Ciekawostką książki jest to, że autor do religji i wiary dochodzi poprzez pragmatyzm. Opowiedzenie się (słabe zresztą) Papini'ego po stronie religji ma być sensacją dnia. Bardzo to mierna dla chybionej pracy pociecha.

ST. P.

OSTATNIE POWIEŚCI MARIUS-ARY LEBLOND'ÓW

Marius-Ary Leblond, oficjalni reprezentanci francuskiej literatury kolonjalnej, dali nam w ostatnich latach trzy wybitne utwory: *Ophélia*, *Ulysse Cafre* i wreszcie ostatni, w którym się kolonjalnemu życiu sprzeniewierzyli: *L'Amour sur la Montagne*. Utwory te są odmienne treścią, różnorodne kolorytem, a jednak pokrewne sobie, bo ujęte w wytworną formę literacką, której się często nie spotyka. Odbijają też one szczególnie od powieści współczesnej — ciekawej bezsprzecznie, bo ilustrującej żywo obecną epokę „dynamizmu“ ale do której tempa nie każda umysłowość może się nałamać. W obecnej literaturze, obok oczywiście indywidualnych kierunków, dadzą się naogół rozróżnić dwie generacje pisarzy, których sam sposób ujęcia zagadnień życiowych i rytm, jakim jest przeprowadzona akcja ich utworów, zdradza, po przeczytaniu kilku zaledwie stronic, czy należą do generacji przedwojennej, czy powojennej.

Pomiędzy temi dwiema generacjami istnieje przepaść, jaka dzieli człowieka, przyzwyczajonego do refleksji, zgłębiania psychologji uczuć, ważenia swych słów i przedstawiania obrazów, stanowiących związaną organicznie całość, od tego, który rzuca na papier garść wrażeń mniej lub więcej chaotycznych, którego utwór nie tyle pobudza do myślenia, co przedewszystkiem wytwarza specjalną atmosferę, dzięki zupełnie niespodziewanemu, bogatemu zre-

szłą kojarzeniu wrażeń. Źródło zaś wrażeń tych jest raczej intelektualne, niż uczuciowe.

Należy jednak nadmienić, że między temi dwoma typami twórczości, jest jeszcze jeden pośredni, zbliżony formą natchnienia do pierwszego, wiekiem zaś i rodzajem wrażeń do drugiego. Są to młodzi pisarze, często bardzo uzdolnieni, ale pracujący w swojej prowincji, zdala od Paryża, nie podlegający zatem jego tyranicznemu wpływowi, ale odtwarzający w swoich utworach atmosferę ich otoczenia, tak krańcowo odmiennego od zawrotnych nastrojów i rozszalałego rytmu stolicy. François Mauriac, Alphonse Chateaubriant, Ernest Perrochon, nie mówiąc o wielu innych, są tego najwymowniejszym dowodem.

Bracia Leblond pozostali oczywiście wierni tradycji literackiej przedwojennej. Nie należy przez to rozumieć, aby w ich utworach nie odczuwało się ewolucji twórczej. Przeciwnie, ewolucja ta jest nawet bardzo charakterystyczna, ale zgoła od dzisiejszej odmienna. Głęboka rozwaga, forna estetyczna i szczery idealizm — oto może najwybitniejsze cechy tych autorów! To też *„Ophélia“* jest dziełem o subtelnej formje i kolororycie; *„Ulysse Cafre“* jedną z najciekawszych powieści kolonjalnych, o solidnej literackiej konstrukcji, a *„L'Amour sur la Montagne“*, ostatnia książka Leblond'ów *) aczkolwiek przeniesiona na grunt europejski, bardziej może jeszcze, niż inne, świadczy o stanowisku, zajętem przez ich autorów i wobec świata i wobec ludzi.

Człowiek w pewnym okresie życia dąży do syntetycznego wypowiedzenia swoich poglądów: Marius-Ary Leblond wyrazili je w ostatnim swym utworze. Zresztą we wstępie książki zaznaczają oni wyraźnie, że w przeciwieństwie do Proust'a, bohaterowie ich są przedstawicielami elity Francji, przedstawicielami jej myśli i uczuciowości. Jaka jest przyczyna zajęcia takiego kategorycznego stanowiska względem autora, *„A l'ombre des jeunes filles en fleur“*? Leblond'owie zarzucają Proust'owi, że odmalował on „wyrzutki społeczeństwa, zwiędłe kwiaty kilku salonów“. Zdaniem Leblond'ów powinno się raczej wyrażać w twórczości emocje, zajmować się przeżyciami moralnemi, upodobaniami tych ludzi, których uważamy za jednostki wyższe, a co za tem idzie definjować charaktery najszlachetniejsze.

To założenie jest podstawą, na której opiera się *„L'Amour sur la Montagne“*: Za dekorację służy jej natura dzikich zakątków Auvergne, temat zaś pozornie nieskomplikowany, ale cały skoncentrowany na akcji psychologicznej. Bohaterami powieści są dwaj przyjaciele: Daniel Vernoz, utalentowany pisarz i Jean Frâne, malarz! jeden oddany sztuce, wrażliwy na otoczenie i jego czar, drugi wyłączny w swoich zamiłowaniach, niezależny, dziki. Te dwie tak odmienne natury uzupełniają się. Vernoz spędza lato w górach, gdzie malarz rozbił swój namiot. Przy boku Frâne'a żyje Solange, młoda jego siostra, zaręczona z Markiem Pradel. Dalszy ciąg łatwy jest do odgadnięcia. Intrygi niema, jest tylko rozbudzenie się uczucia, spotęgowanego jeszcze przez życie odosobnione, w kontakcie bezpośrednim z naturą. To też w krótkim przeciągu czasu pisarz spostrzega, że Solange staje się dla niego czemś więcej, aniżeli tem, czem jest, t. j. miłą, młodą, ładną dziewczyną. Zresztą i ona nie jest dla niego obojętna, choć właściwie ani nie jest świadoma swojej nowej miłości, ani nie zdaje sobie sprawy z zazdrości narzeczonego, Vernoz, przeciwnie, ma jasne poczucie sytuacji, potrafi jednak nie poddać się jedynie instynktowi, ale dycyduje się na przerwanie tej idylli, mogącej mieć nieoczekiwane konsekwencje.

Przeprowadzenie tego tematu przedstawiało duże trudności, choćby dlatego, że można było łatwo popaść w ton banalnej idylli. Leblond'owie jednakże wprowadzili do swojej książki ciekawe momenty psychologiczne, przedstawiając uczucie i wrażliwość wyższego rodzaju, którym przeciwstawili naturę dziką i wyzywającą. Umiejętność i subtelność analizy psychologicznej tych różnorodnych typów sprawia, że w obfitej twórczości literackiej braci Leblond'ów *„L'Amour sur la Montagne“* jest być może dziełem o najbardziej trwałej wartości.

I. BR.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO.

Śmierć Stefana Żeromskiego okryła żałobą polską literaturę. Dzienniki podały obszerne życiorysy zmarłego pisarza, to nas zwalnia od powtarzania suchych dat w tygodniku. Będziemy natomiast usiłowali dorzucić przyczynki do życia Żeromskiego w formie wspomnień. W numerze obecnym oprócz paru artykułów i poezji, poświęconych zmarłemu twórcy, zamieszczamy własne jego wspomnienie z lat młodzieńczych pt. „Wybieg instynktu“, które ogłosił w roku bieżącym w „Księdze pamiątkowej Kielczan (1856—1904“, wydanej w Warszawie pod redakcją kolegi jego szkolnego Tomasza Ruśkiewicza.

Do księgi tej wypadnie nam nieraz jeszcze wrócić. Zwracamy na nią uwagę choćby ze względu na to, że jest ona pierwszorzędnem źródłem informacyjnem do okresu „Syzyfowych prac“ Żeromskiego. W księdze tej Ruśkiewicz zamieścił niezwykle interesujące wspomnienia o tem, jak się Żeromski uczył, jak pisał swoje pierwsze poezje i jak występował na koncercie. Wydawnictwo to jest do nabycia w księgarni Perzyński, Niklewicz i sp., albo w Kole Kielczan.

Co się tyczy Koła Kielczan, które stworzyli b. wychowańcy gimnazjum Kieleckiego, było ono na pogrzebie reprezentowane przez swoje prezydjum w osobie ministra B. Markowskiego, redaktora Z. Wasilawskiego inż. T. Ruśkiewicza, Ant. Rybarskiego i Jana Zydlera dyr. gimn. Złożono wieniec z napisem „znakomitemu koledze Koło Kielczan“.

*

Książka ma nietylko swoich pisarzy i czytelników, wydawców i nabywców, kollekcjonistów i bibliotekarzy, krytyków i bibljografów, ma też swoich poetów. W ich rzędzie stanęła kobieta, pani Zuzanna Rabska. Widocznie miłość książek ma w Polsce swoją atmosferę, skoro poetka uznała, że będzie miała z kim dzielić się swemi wzruszeniami bibljofilskiemi. Pokaźny tomik, bardzo ładnie wydany w zakładach drukarskich Ossolineum we Lwowie, poetka zapełniła sonetami na cześć książki.

Książka spełniła wielką rolę w budowie świata, nadbudowała nad nim drugi świat symbolu słownego, utrwalonego w piśmie. Materjalnie wyraziło się to w zbiorach, które człowiek zainteresowaniem swojem wciąż odżywia, wytwarzając nad książką specjalną atmosferę duchową, kojącą namiętności. Jedna tylko namiętność tutaj się wkradła — pasja oglądu, gorejąca potrzebą bądź ilości ksiąg, (pierwiastek społeczny), bądź ich jakości (estetyczny). Pani Rabska szuka kwiatów między księgami. Porywa ją widok dawności i osobliwości, historja i estetyka księgi. Zwiedza księgozbiory królewskie, klasztorne, naukowe, antykwarskie, zarówno w Polsce, jak we Włoszech i w Anglji. Każdy jej utwór daje wyraz jakiemuś motywowi historycznej wyobraźni, wszystkie zmysły wchodzą w grę, niczem w obcowaniu z życiem, które tętni, barwi się, dźwięczy i wonieje. Antyk działa zmysłowo na poetkę, jako miłosne dotknięcie przeszłości; w każdym zaklęta czyjaś miłość: kwitną tu ludzie, jak nieśmiertelniki.

Poezja bibliofilska, głucha na wewnętrzną mowę książki, słucha chciwie, jak szeleszczą „weliny wiekowe“ i „pieści dłonią bezcenne, jasne pergaminy“. Ale właśnie dla tego jest poezją, inaczej byłaby encyklopedją. Przyroda książki znalazła w p. Rabskiej rafinowaną miłośniczkę Wytworna forma sonetu doskonale odpowiada naturze refleksyjnych wzruszeń.

*

W jednym tygodniu zyskaliśmy trzy nowe książki o Anglji Romana Dmowskiego „Anglja powojenna“, Piotra Żukowskiego „O Anglji. Wrażenia z podróży i notatki z lektury“ (Poznań, skład, gł. u św. Wojciecha. Cena 2.40 zł. str. 42) i Jana Lutosławskiego „Kartki z podróży do Anglji“ (Warszawa 1925 Księgarnia Rolnicza. Str. 252). Pierwsza z nich, traktująca o stosunkach politycznych Anglji, znana już jest czytelnikom „Myśli Narodowej“ z artykułu p. B. Batora (nr. 7), P. Żukowski zaznajamia nas z Londynem, z muzeami, z obyczajami i stosunkami w sposób treściwy, a zaletą główną książki są zestawienia obecności z tem, co o Angli pisali Polacy dawniej.

Książka Jana Lutosławskiego, redaktora „Gazety Rolniczej“ ma specjalniejsze znaczenie. Jest to owoc obserwacji z jego zeszłorocznej podróży do Anglji w charakterze delegata do Międz. Komisji Rolniczej. Część uczestników Komisji skorzystała z zaproszenia rolników angielskich w związku z wystawą w Wembley. Autorowi przyświecała myśl doltarczenia rolnikom polskim pewnej sumy informacji o rolnictwie angielskiem przed najbliższym międzynarodowym kongresem rolniczym, który się ma odbyć w Warszawie z udziałem rolników angielskich. Bardzo pracowicie, źródłowo i umiejętnie, a w sposób interesujący, autor skupił w swojej pracy mnóstwo materjału, świadczącego o usilnej pracy Anglików w celu przywrócenia rolnictwu należytego miejsca w gospodarce narodowej. Liczne ilustracje podnoszą wartość cennej książki p. Lutosławskiego.

*

Niedawno ukazała się książką p. Jana Cynarskiego p. t. „Łotwa współczesna“ (str. 168, z 2 mapami i 18 ilustracjami) składająca się z następnych rozdziałów: I Kraj i ludność; II Dzieje Łotwy od zarania do 1914 roku; III Łotwa podczas wojny światowej i po zdobyciu niepodległości; IV Ustrój polityczny i życie polityczne Łotwy; V Rozwój gospodarczy: VI Rozwój kultury łotewskiej; VII Mniejszości narodowe na Łotwie; VIII Polska i Łotwa na tle sytuacji międzynarodowej.

Autor nie zawsze potrafi utrzymać się na stanowisku ściśl objektywnem, mimo to jednak, książka ma charakter przedewszystkim informacyjny i wiele ciekawych o państwie i narodzie Łotewskiem podaje szczegółów.

---

*) Marius-Ary Leblond· „Amour sur la Montagne“ — Editions de France.

Nakładem F. Hoesicka ukazała się „Czechosłowacja" zbiorowa praca (pod red. B. Vydry) przełożona przez M. Bunikiewiczową, zawierająca: Zarys stosunków geograf., narodowościowych i wyzn.— Podstawy organizacji państwa czechosł. — Stosunki polityczne. — Życie gospodarcze — Szkolnictwo.—Organiz., pracy oświatowej.— Narodowa filozofja. — Współcz., literatura. — Sztuki piękne. — Współczesna muzyka. — Gimnastyka i sport. Ilustrowane to dzieło może być doskonałym informatorem o naszym połud.-zachodnim sąsiedzie.

*

Liga Morska i Rzeczna ogłasza konkurs na napisanie noweli wielkości od 150 do 250 wierszy osnutej na tle morza. Nowela winna być zaopatrzona godłem i nadesłana przed dn. 20/I 1926 r. do Ligi Morskiej i Rzecznej (Warszawa, ul. Elektoralna 2). Pierwsza nagroda 500 zł., druga 300 zł., trzecia 200 zł.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

René Benjamin, autor „*Valentine ou la Folie Démocratique*", skreślił w sposób bardzo interesujący i żywo „*La Prodigieuse vie d'Honoré de Balzac*" (Plon Nourrit). Dzieło to inauguruje nowy zbiór studjów o wielkich ludziach: filozofach i historykach. W zbiorze tym ukażą się później: François Villon przez Fr. Carco, Gambetta przez Pierre Benoit, Cagliostro przez G. Photiades, Robespierre przez Henri Béraud, Rivarol przez Louis Latzarus, Pascal przez Henri Massis, Chateaubriand przez L. Martin Chauffier, Henri IV przez E. Pilon.

*

Ukazała się ostatnia praca H. Wendela pt. Der Kampf der Südslaven um Freiheit und Einheit. (Frankfurt M. 1925). Na blisko ośmiuset stronicach podaje dzieje znany literat niemiecki obraz ewolucji narodowej idei jugosłowiańskiej. Jest to dzieło, oparte na naukowych podstawach, jakiego sami Jugosłowianie nie posiadają.

U SŁOWIAN

Niedawno obchodził siedemdziesiątą rocznicę urodzin jeden z najznakomitszych czeskich historyków literatury prof. Jan *Máchal* (ur. 25 X. 1855). Máchal specjalnie zajmował się sprawami słowiańskiemi, cały też szereg prac jego dotyczy piśmiennictwa ogólnosłowiańskiego i poszczególnych jego dziedzin. Jako najważniejszą pracę Máchala wymienić trzeba „Literatury słowiańskie" (2 tomy, Praga 1922 — 1925). Swoisty sposób wykładu uczynił autor nader jasnym i przystępnym, wprowadzając podział nie na poszczególne literatury słowiańskie ale na kierunki literackie, przy których omawia rozwój poszczególnych piśmiennictw. — Poprzednio wydał prof. Máchal „Zarys mitologji słowiańskiej" (II wydanie wyszło b. r.) oraz rozprawę „O bohaterskiem epos słowiańskiem" (1894).

Będąc profesorem wszechnicy praskiej wydał parokrotnie cykle swych wykładów, m. i. cenne „Dzieje dramatu czeskiego" (1917) i opracowanie najnowszej literatury czeskiej (od r. 1880). Ponadto pracuje Máchal w redakcjach „Czasopisma Muzeum Narodowego" i „Czas. filologji nowożytnej".

Prof. Jan Máchal jest niewątpliwie jedną z najwybitniejszych postaci w czeskim świecie naukowymi.

*

Akademja Czeska przystępuje do wydania wielkiego dzieła pt. „Podręcznik filologji słowiańskiej". Dzieło obejmować ma dziesięć tomów, każdy po 30—40 arkuszy, które opracowywać będzie pod kierownictwem prof. M. Murki komitet redakcyjny, złożony z najwybitniejszych slawistów czeskich, jak Niederle, Bidlo, Kádlec i inni.

Podział tej prawdziwej encyklopedji wiedzy słowiańskiej na pięć części (geografja i statystyka — językoznawstwo — piśmiennictwo — sztuka — kultura i historja) umożliwi zapoznanie się z każdą dziedziną życia słowiańskiego. Godny uwagi jest fakt, że każda część dzieła pisana będzie w tym języku słowiańskim, o którego gramatyce, piśmiennictwie etc., będzie mowa.

*

„*Przegląd Słowiański*" (Slowansky Prehled) Nr. 4 (wrzesień) przynosi dalszy ciąg pracy min. Benesza o „Problemach polityki słowiańskiej", gdzie znakomicie wykazana jest właściwa istota rosyjskiego panslanizmu, jako egoistycznego panrusizmu. Zarazem określa się ruch wszechsłowiański jako konieczny wobec dążeń zabornych pangermanizmu. Ad. Cerny daje retrospektywny pogląd na zagraniczną i wewnętrzną politykę polską, podkreślając duże znaczenie zbliżenia polsko-czeskiego. Pozatem wśród recenzyj i uwag znajdujemy artykuły o jubileuszach m. i. K. Niederlego, z Polaków zaś Kallenbacha, Malczewskiego i Reymonta oraz nekrologi M. Chylińskiego, K. Morawskiego i in.

*

„*Prądy*" (Prúdy), słowacki miesięcznik literacko naukowy, wychodzacy w Bratislavie (r. IX) Nr. 7. (wrzesień) i 8. (paźdź.) przynoszą cały szereg interesujących prac. Do wzmożonego i u Słowaków ruchu husyckiego odnoszą się artykuły „Papieże a unjonizm" oraz „Jedność chrześcijańska", to ostatnie studjum precyzuje stanowisko czechosłowackie wobec kongresu kościelnego w Stockholmie. W numerze 7 pisze dr. Pogonowski o konkordacie Polski z Watykanem, a w numerze 8 jest artykuł H. A. Batowskiego o ruchu słowianofilskim w Polsce.

*

„*Głos Słowiański*" (Sławjanski głas). (rocznik XIX, Sofja). przynosi m. i. bardzo ciekawy artykuł d-ra M. Bobczewa o stosunkach wzajemnych narodów słowiańskich w pierwszej połowie b. r. Kwartalnik sofijski z radością notuje fakt zbliżenia polsko-czechosłowackiego, niesłusznie natomiast podejrzewa pogorszenia stosunków między Polską a emigracją rosyjską. Z artykułu p. Bobczewa możnaby nabrać wrożenia, że Polska się niechętnie do ros. emigracji odnosi— „polski rusofobizm... W Polsce nie odczuwa się jeszcze psychologicznej potrzeby zbliżenia z Rosją. Polacy nie znają (!) rosyjskiej duszy.." konkluduje p. Bobczew. Dobrze by było, żeby autor informował się z polskiej strony, a nie wyłącznie z germanofilskich ros. czasopism jak berliński „Rul" i „Poslednija Nowosti".

*

„*Czesko-łużycki Kurjer*" [Ceskoluzicky, Vestnik Praga r. VI], 8-stronicowy miesięcznik, organ „T-wa czesko łużyckiego" przynosi w każdym numerze ciekawe wiadomości o życiu drobnego narodku Serbów łużyckich. Tak np. Nr. 7 (wrzesień) podaje ocenę ważnej a jedynej w swym zakresie pracy dra S. Páty „Wprowadzenie do studjum literatury serbołużyckiej" (rozprawy wydz. filoz. uniw. Karola w Pradze, 1925), oraz wiadomość o kontynuacji wspaniałego wydawnictwa dra Ern. Muky „Słownik języka dolnołużyckiego" Pozatem szereg informacyj o łużyckich stowarzyszeniach, pracy oświatowej, etc.

NOWE KSIĄŻKI

Tadeusz Zieliński prof. Z życia idej. Studja i szkice Serja I. Zamość. Z. Pomarański i Sp. Str. 327.

Klaudja Abozina-Majchrowicz. Rozum. Miechów (1925). Str. 11.

Gebert i Gebertowa. Opowiadania z dziejów powszechnych. Cz. I. Książ.-Atlas

Zorza. Kalendarz ilustrowany na r. 1926. Warszawa. Aleje Jerozolimskie 17. (Cena 1.50 zł.).

Firma Wydawnictwo Polskie w Poznaniu wydała:

Adam Krechowiecki. O tron. Powieść historyczna z XVII w. Cztery tomy. Z por. autora.

Sewer (Maciejowski). Bratnia dusza. Powieść.

Mark Twain. Przygody Tomka Sawyera. Przełożył z ang- Jan Biliński. Z 6 ilustr.

Romain Rolland. Jan Krzysztof. Przekład Staffa. T. I.

Nasz program. Przemówienia R. Dmowskiego, R. Rybarskiego, St. Kozickiego i in. Na konferencji Z. L. N. 18.X.1935. Warsz- 1925 Związek Lud. Nar. Sekretarjat Główny Jerozolim. 17 (Cena 50 gr.).

W 25-lecie pracy Jana Zamorskiego. Zbiór artykułów. Do nabycia tamże.

Stanisław Staszic (broszura). Tamże.

Melchjor Wańkowicz. Szpital w Cichiniczach. Opowiadanie. Warz. 1926 Tow. Wyd. Rój. (z ilustr.).

Al. Błażejowski. Czerwony błazen. Powieść. Bibl. dzieł wyb.

Józef Lewicki prof. Ustawodawstwo szkolne za czasów Komisji edukacji narodowej (1713—1793). Kraków 1935 Bibl. pol. pisarzy pedag. nr. 2. Nakładem M. Arcta w Warszawie. Str. 80 i 456.

Janina Brzostowska. Erotyki. Wydawn. Czartak 1926.

Tadeusz Zieliński, prof. Religja Hellenizmu. Przełożyła G. Piankówna. Warszawa 1925. J. Mortkowicz. Str. 254.

Nakładem księgarni M. Arcta w Warszawie wyszły:

Ewa Białynia. Bolesław Chrobry. Str. 40.

Z. Fedorowicz. Polska. Krajobraz i człowiek. Wypisy geograficzne.

Stanisław Szober. Podręcznik do nauki języka polskiego w seminarjach nauczycielskich. Str. 284 i mapa.

Stefan Łaganowski. Przez lądy i morza. Część II wypisów geogr. (Ziemia w opisach i obrazach). Ameryka, Australja, Azja, Afryka. Wyd. II (z ilustr.). Str. 344.

Henryk Galle. Wypisy polskie na kl. III. Wyd. II. (z rys.).

Tenże. Wypisy polskie na oddz. V szk. powsz. Wyd. X (z rys.).

WYDAWNICTWO „MYŚLI NARODOWEJ" uprasza Sz. Czytelników, aby zechcieli jaknajprędzej uregulować należność za kw. IV i zamówili prenumeratę na kw. I 1926 r.

ZWRACAMY UWAGĘ, że w jednym z poprzednich zeszytów wskutek przestawienia cyfr mylnie wydrukowano nr. konta czekowego na P. K. O. Jest to nr. 3.105. Prosimy o sprostowanie i zawiadomienie administracji, kto mylnie adresował.

NA MARGINESIE

Jeden z najniefortunniejszych prezesów gabinetu, p. Nowak, powiedział przy objęciu rządu: „Dziwna rzecz; ile razy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, zwraca się do mnie". Zaznaczyć trzeba, że ojczyzna nic o tem nie wiedziała. Podobnie rzec można o sobie: ile razy ojczyzna jest zawichrzona, ja zawsze wynurzam się z Sulejówka. Ale o tem ojczyzna wie.

*

Pan H. C. rozstrzygając kwestję w „Kurjerze Warszawskim", czy adwokat powinien bronić w sądzie komunistę, który godzi „na życie matki-ojczyzny", który „wziął z religji wszystko, co jest grzechem, a z przepisów prawa wszystko co jest występne", który wszystko na proch ściera i twierdzi, że „zbawieniem jest rzeź", — oświadcza, że wprawdzie sam takiej obrony by nieprzyjął, ale usprawiedliwia „kilku wymownych i utalentowanych adwokatów w Warszawie", którzy występują w takich sprawach, bo działają „zgodnie ze swem przekonaniem i sumieniem". Ponieważ zwyczajny morderca lub rabuś jest mniejszym przestępcą, niż (według definicji p. H. C.) komunista, winien największych zbrodni, przeto jeszcze bardziej zasługiwałby na usprawiedliwienie adwokat, któryby pospolitego złoczyńcę bronił również „z przekonania i sumienia". Dokąd to czasem zajechać można drogą logiki na koniku tolerancji, wyruszywszy z fałszywego założenia.

*

Ministerjum Pracy i Opieki społecznej, w dalszem staraniu o znękanie pracy i odmowę opieki społecznej, zakazało handlu ulicznego w święta, po godzinie 7 wieczorem. Uznało bowiem, że ten kawałek chleba, który żywi biednych, nieraz głodujących przekupniów, jest za wielki i trzeba go im okroić. Ciekawa rzecz, czy autorowie tych mądrych zakazów miewają l u c i d a i n t e r v a l l a, w których widzą pod niemi podpis faraona Sienkiewiczowskiego Psunabudesa?

*

Partja radykalna w sejmie duńskim zaproponowała zniesienie orderów. Wiadomość ta przeraziła naszych republikanów, obwieszonych blaszkami, jak najzręczniejsi rycerze kotyljonowi. Jak to, wszystkie te niezliczone *restituty* miałyby spaść do wartości wycofanych z obiegu marek pocztowych? Strach byłoby o tem śnić a cóż dopiero pomyśleć na jawie! W dodatku ta potworna nowina przyszła akurat w chwili, kiedy Ministerjum spraw zagranicznych postanowiło sprawić swoim urzędnikom mundury. Już chyba z takiego wypadku p. Skrzyński nie jest zadowolony. Powinien on natychmiast wysłać do Kopenhagi co najmniej notę werbalną ze zwróceniem uwagi rządowi duńskiemu, że jeśli republika polska prowadzi produkcję orderów na wielką skalę, to nie przystoi znosić je w monarchji i w państwie z nami zaprzyjaźnionem. Wtedy musielibyśmy przerwać sprowadzanie duńskich śledzi.

*

Oprocz paskarzów, dyktatorów proletarjatu i dygnitarzów 3 i 2 kategorji z domowem i elementarnem wykształceniem a także z małopolskiem pochodzeniem, jest w Polsce jeszcze jeden rodzaj istot żyjących, którym nie dokucza przesilenie gospodarcze i które nie obrażają ustawy o przymusowem poszanowaniu, mianowicie psy. Ilu tych pół-obywateli, wyłączonych z pięcioprzymiotnikowego głosowania przy wyborach, posiada Warszawa, wie zapewne magistrat, pobierający od nich podatki, my możemy przypuścić, że jest ich tyle, co ludzi bezrobotnych. Podczas gdy ci ostatni zamierają z głodu lub odbierają sobie życie, psy utuczone, wykąpane, wyczesane, nieraz kosztownie ubrane, biegają sobie po ulicach, a jeśli je ktoś rozgniewa — jak to się zdarzyło w Łodzi — zagryzają człowieka.

Utrzymanie psa w Warszawie kosztuje co najmniej złoty dziennie. Niechże więc magistrat, który ciągle rozmyśla, jaką by jeszcze przystawić pijawkę do kieszeni złupionego mieszkańca, podniesie podatek od psów do 365 zł. rocznie. Zdobędzie sowity fundusz na ratowanie ludzi, pozbawionych pracy.

*

Księgarz w Lubartowie, p. Marjan Plewicki, wydał na kosztownym papierze powieść jakiegoś grafomana nie umiejącego pisać i niemoralnego. Nadesłaniem tej książki obraził redakcję pisma literackiego. Nie interesuje nas autor; powinien się nim zająć dom poprawczy. Ale księgarz jest odpowiedzialny przed społeczeństwem, za szerzenie rzeczy złych. Księgarz koncesjonowany na rzut oka powinien rozpoznać, co jest literaturą, a co jej obrazą. Istniała dotąd opinja, że księgarnie po miasteczkach są placówkami kultury, pokazuje się, że nie czując nad sobą rygoru korporacyjnego, stają się ogniskami chorobliowemi złego smaku literackiego i etycznego.

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY WEWNĘTRZNE

P r e z y d e n t Rzeczypospolitej podpisał nominacje nowego rządu w następującym składzie: p. Aleksander Skrzyński (premier i min. spraw zagranicznych) p. Wł. Raczkiewicz (min. spraw wewnętrznych) Pos. J. Zdziechowski (min. skarbu) pos. St. Grabski (min oświaty) pos. S. Piechocki (min. sprawiedliwości) pos. St. Osiecki (min. przemysłu i handlu) pos. Wł. Kiernik (min. rolnictwa) pos. A. Chądzyński (min. kolei) pos. B. Ziemięcki (min. pracy i opieki społ.) pos. J. Moraczewski (min. robót publicznych). Tymczasowe kierownictwo min. spraw wojsk. objął gen. Majewski, zas tymczasdwe kierownictwo min. reform rolnych p. Radwan.

W G d a ń s k u odbyła się wspaniała uroczystość z powodu dziewięćsetlecia koronacji Chrobrego.

U n i w e r s y t e t w i l e ń s k i postanowił skasować wydział rolniczy z powodu zbyt małej liczby studentów.

W W a r s z a w i e odbył się trzeci kongres Młodzieży Wszechpolskiej. Na przewodniczącego organizacji wybrano p. Rabskiego, na sekretarza generalnego p. Gryziewicza.

SPRAWY ZAGRANICZNE

N o w y r z ą d f r a n c u s k i utworzony niedawno pod przewodnictwem p. P. Painlevè'go podał się do dymisji z powodu odrzucenia przez Izbę deputowanych jego przedłożeń w sprawie sanacji finansów.

A n g i e l s k a I z b a G m i n ratyfikowała traktat locarneński większością 375 głosów przeciw 13.

D n. 2 4 b. m. rozpoczęły sie w Warszawie rokowania polsko-niemieckie w sprawie likwidacji majątków niemieckich w Polsce. Przewodniczącym delegacji polskiej jest prof. Bohdan Winiarski.

R a d a m i e j s k a w K o w n i e wybrała na przewodniczącego Polaka p. Janczewskiego.

S e n a t w ł o s k i uchwalił wniesioną przez rząd ustawę przeciw tajnym stowarzyszeniom, skierowaną w pierwszym rzędzie przeciwko należeniu urzędników państwowych do masonerji.

N a W ę g r z e c h wprowadzono nową walutę pełnowartościową p. Pengoe, znosząc jednocześnie wszelkie ograniczenia handlu dewizami.

K o m i s a r z L i g i N a r o d ó w w Gdańsku zawiadomił Genewskiego Sekretarza Ligi Narodów, że półwysep Westerplatte przekazany został władzom polskim.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu C. Jak. Nadesłanych wierszy nie możemy ogłosić. Czy Pan czytuje „Myśl Narodową"? Tego musimy wymagać od osób, które chcą wchodzić z redakcją w stosunki.

Panu W. G. w D. Przekład zbyt sztywny i mało wymowny Tego rodzaju rzecz powinna dobrze dźwięczyć, wpadać do serca. Czyby Pan nie zechciał nam odpisu oryginału? Bardzo dziękujemy za list.

Panu S. M. w W. „Myśl Narodowa" powinna być na miejscu w sobotę. O każdej niedokładności pocztę prosimy powiadomić. Do końca kw. I r. 1926 należy się jeszcze 2 zł.

Panu Zdz. Z. Nie zużytkujemy.

Panu Br. K. Pieniadze otrzymaliśmy. Wysłaliśmy komplet od nr. 1. Mamy nadzieję, że w roku przyszłym warunki pozwolą nam pismo rozszerzyć.

Panu St. C. w P. Pisze Pan takie rzeczy, jakby pan chciał zrobić przykrość czytelnikowi. Przecież mógłby Pan inaczej przedstawić rozpacz, niż przez wyciąganie do nieba „wątłych próśb żerdzi." Dosyć chyba materjału na szubienicę:

Kruszą się suche me tyczki,
Trzeszczą wiązania i belki —
Ach tylko sznureczki, rzemyczki
Ma mój szałasik niewielki...

A Pan wybiera taki bałamutny sposób, że Pan upadnie okropnie:

Błotem twarz krwawą zamulę
I śpiesznie, cichutko, pochopnie
Na wieki w siność się wtulę.

Można zresztą i tak, ale poco to zapowiadać kiepskim rymem. I ta jesień pańska też dziwna: „Liście na wietrze się trzepią". Niesposób powstrzymać melancholji od uśmiechu.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. **8**, rocznie zł. **30**, za granicą kwart. zł. **12**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.
Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.